

GAJA GRZEGORZEWSKA Z DRESZCZYKIEM





„Okolice Święta Zmarłych to dla dziadka zawsze był czas bardzo pracowity. Już w połowie października zaczynało się dużo dziać. I niemal do końca listopada nie było dnia, żeby ktoś nie dzwonił po dziadka, nie wysyłał umyślnego z liścikiem, bilecikiem lub słowną prośbą. Dziadek miał wtedy tyle roboty, że nieraz musieliśmy mu towarzyszyć, gdy rodzice byli w pracy. Ile my się wtedy naoglądaliśmy dziwnych rzeczy! Więcej niż potem przez cały rok. A ile mieliśmy nowych historii do opowiadania koleżankom i kolegom. Z czasem przestali nam wierzyć, ale to nic. Tak musiało być. Taka kolej rzeczy. My też przestaliśmy wierzyć, a zaczęliśmy widzieć i wiedzieć.

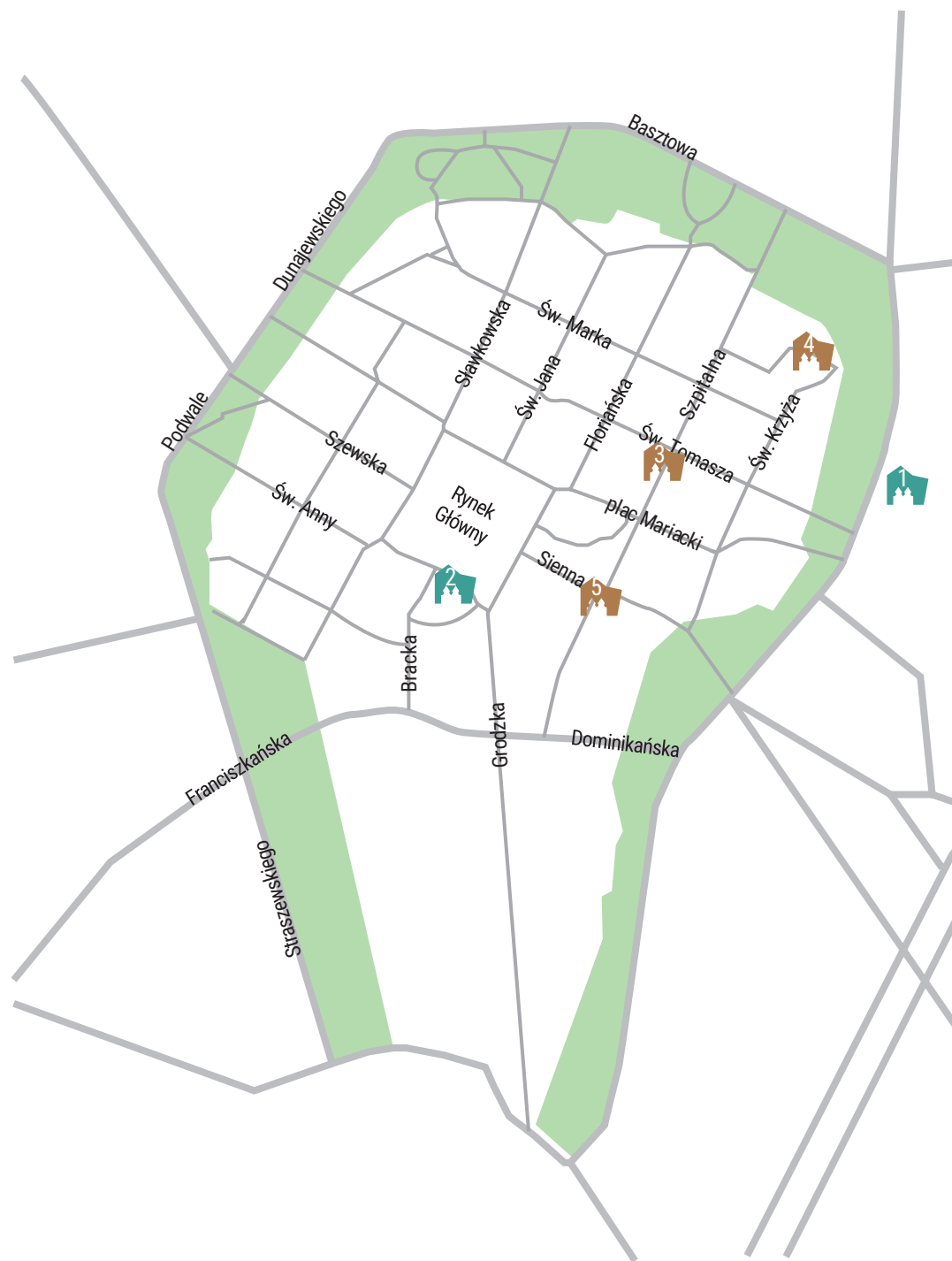
Nasz wkład w sprawy stawał się coraz większy, a dziadek zaczął nas nazywać swoimi pomagierami. Nie bardzo odpowiadał nam ten tytuł, więc Gabs usiłował namówić dziadka, żeby przynajmniej nazywał nas sidekickami, z angielska. Ale na to dziadek jedynie parsknął.

– Nie rozśmieszaj mnie, Gabrielu. Zamiast gadać bzdury, odnieś lepiej te czaszki do grobu, a ty młoda pozamiataj ziemię.

Wytrzymaj krew, wypoleruj okrągły stolik, zasłoń lustro całunem, nasuń nagrobną płytę, zagnaj bezgłowego konia do stajni. I tak dalej, i tak dalej. Nie traciliśmy jednak nadziei, że pewnego dnia awansujemy w oczach dziadka i przydzielą nam jakieś ciekawsze zlecenie. Ale lata mijały, a my dalej pilnowaliśmy grobowców po pogrzebach i gasiliśmy światła na bagnach”.

Fragment książki

GAJA GRZEGORZEWSKA
Z DRESZCZYKIEM



TRASY KRAKOWSKIE

18-19 MAJA 2019

1. Pałac Pusłowskich

ul. Westerplatte 10, Kraków
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest niedostępny.

2. Pałac Potockich

Rynek Główny 20, Kraków
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny do zwiedzania częściowo.

25-26 MAJA 2019

3. Klasztor Duchaczek z kościołem pw. św. Tomasza

ul. Szpitalna 8-12, Kraków
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest niedostępny.

4. Kościół pw. Świętego Krzyża

ul. św. Krzyża 23, Kraków
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny pon.-pt. 10.00-12.30 i 16.00-19.00 oraz przed mszami św. i po nich.

5. Dom Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego

ul. Sienna 5, Kraków
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest niedostępny.

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:

Joanna Nowostawska-Gyalókey

Współpraca: Paulina Kasprzycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk

Korekta: Ewa Ślusarczyk, Ewelina Korostyńska

Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska

Projekt graficzny, skład i łamanie: Magda Gardela

Rysunki i ilustracje: Magda Gardela

Przygotowanie zdjęć do druku: Zbyszek Czapnik

Na okładce: Dziadek z wnukami w Spiskiej Nowej Wsi (dziś Słowacja),
fot. Szilárd Schermann, 1939. Ze zbiorów fortepan.hu

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca też do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

www.mik.krakow.pl

[FB/mik.krk/](https://fb.com/mik.krk/)

ISBN 978-83-61406-58-7

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2019

Publikacja powstała w ramach XXI Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.

www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 6000 egz.

Druk: Drukarnia Leyko

Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznany.
Informujemy jednak, że dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce.

GAJA GRZEGORZEWSKA
Z DRESZCZYKIEM

Kraków 2019

SPIS TREŚCI

SZKIELET O TURKUSOWYCH OCZACH Pałac Pusłowskich w Krakowie	9
FANTASTYCZNY PIESEK Pałac Potockich w Krakowie	27
CUDZE SNY Klasztor Duchaczek z kościołami pw. Świętego Tomasza i Świętego Krzyża w Krakowie	45
TAJEMNICA SKARBCA Dom Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie	63
O TYM, JAK DZIOPA I CHODOK POJECHAŁY WIEŚ OD STRACHÓW RATOWAĆ Kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Iwkowej	79
ALBA ECCLESIA Kościół pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i zamek w Czchowie	95
GŁOWA TURKA Beluard w Rożnowie	109
KOCI ZAKĄTEK Wieś Kacwin na Spiszu	125
NÓŻ I SKÓRA Kościół pw. Świętego Bartłomieja w Niedzicy	141
CZŁOWIEK, KTÓRY USŁYSZAŁ ORGANY <i>Organy</i> Władysława Hasióra na Przełęczy Snózka	157
Podziękowania	173
Bibliografia	175

Szanowni Państwo!

Przed nami XXI Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego – przedsięwzięcie, które nie tylko zachęca do zgłębiania historii wyjątkowych miejsc w naszym regionie, często nieznanych i na co dzień niedostępnych, ale przede wszystkim promuje nasze regionalne dziedzictwo kulturowe wśród mieszkańców i turystów z całego świata.

Wspólnie z Małopolskim Instytutem Kultury w Krakowie zapraszam Państwa do odkrywania, podczas tegorocznej edycji wydarzenia pn. *Z dreszczykiem*, małopolskich tajemnic i rozwiązywania zagadek w dwunastu zabytkach na terenie Krakowa, Pogórza Wiśnickiego, Rożnowskiego, Spiszu i w jego sąsiedztwie.

We wszystkich lokalizacjach czekać będą gospodarze i przewodnicy, którzy odkryją przed Państwem sekrety historii tych miejsc. Eksperci i pasjonaci zabiorą Państwa na fascynujący spacer po zakamarkach kamienic, labiryntach komnat i tajemniczych ruinach zamków i fortec.

Serdecznie zachęcam wszystkich – zarówno młodzież, jak i dorosłych – do udziału w tym ciekawym projekcie i odwiedzenia małopolskich zabytków. Mam nadzieję, że udział w tegorocznej edycji Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego przyniesie o dreszczyk emocji wszystkim pasjonatom dziedzictwa naszego regionu.

Życzę Państwu wielu wrażeń.



Witold Kozłowski
Marszałek Województwa Małopolskiego

Dziedzictwo. To, co dziedziczymy, dostajemy w spadku, jest nam przekazane. Po przodkach, po rodzinie, po krewnych. Czasem przyjmujemy je z radością i wdzięcznością, czasem z zakłopotaniem, bywa, że z bezradnością, w poczuciu niewiedzy, co możemy czy powinniśmy z nim zrobić.

Jak daleko sięga promień dziedziczenia? Czy dziedzictwem jest tylko to, co osobiste, czy także wspólny spadek po poprzednich pokoleniach. Kiedy dziedzictwo to żywy fragment mojej tożsamości, a kiedy okragłe frazy, deklamowane wyłącznie (przez innych) przy okazji akademii i parad?

Dziedzictwo to poczucie odpowiedzialności. Nie tylko za utrzymanie w dobrym stanie tego, co zostało nam przekazane. To ważne, szczególnie w kraju, w którym tak często traciliśmy materialne dobra. Lecz ważniejsze, dużo ważniejsze jest ciągle na nowo przemyśliwanie tego, co dziedzictwo ma nam do powiedzenia. Co nadal jest aktualne, a co aktualność straciło. Co nam jako społeczeństwu dziś służy, co służyć dawno przestało. Co powinniśmy pielęgnować i rozwijać, a co być może lepiej będzie pozostawić przeszłości.

Tegoroczne Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego nazwaaliśmy z przymrużeniem oka *Z dreszczykiem*. Nie zawsze o dziedzictwie trzeba mówić z patosem i powagą. Od czasu do czasu dobrze jest w przeszłości poszukać tajemnicy, poczuć ekscytację, stać się odkrywcą. Być może właśnie takie podejście sprawi, że odległa historia będzie nam na co dzień o wiele bliższa.



Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury
w Krakowie

Franciszek Xawery Pusłowski we własnym łóżku na planie filmu *Dziewczyna z dobrego domu*, reż. A. Bohdziewicz, 1962,
fot. K. Malkiewicz. Ze zbiorów Studia Filmowego „Kadr” (licencja FilMOTEKA Narodowa)

SZKIELET O TURKUSOWYCH OCZACH

PAŁAC PUSŁOWSKICH W KRAKOWIE

Na niebie rozkwitały świetliste chryzantemy. I zaraz gasły. Rozkwitały i gasły, a my z bratem klęczeliśmy na sofce przysuniętej pod okno z nosami przyklejonymi do lodowatej szyby i oczami wlepionymi w fioletową ciemność nad dachami Krakowa, raz po raz rozbłyskującą ogniem sylwestrowych fajerwerków. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy na wojnie, a niebo spływa krwią naszych wrogów.

Rodzice byli na jakimś przyjęciu i mieliśmy nadzieję, że wrócą nieprędko. Gdy całowali nas na dobranoc, wyglądali tak pięknie. Jak książęca para jadąca na bal balów – największe wydarzenie sezonu. Patrzyłam na nich wychodzących przez furtkę, a potem widziałam ich przez pajęczynę splątanych suchych gałęzi wsiadających do karety zaprzęgniętej w czwórkę koni. Gabs uważał, że była to taksówka.

W przerwach między armatnimi wystrzałami słyszałam, jak gdzieś za naszymi plecami, w głębi salonu szeleści dziadkowa gazeta. Przewracał strony długimi sękowatymi palcami. Skórę też miał taką suchą i cienką, jakby z tego papieru. Nie musiałam się odwracać, żeby to wszystko zobaczyć, tak dobrze był nam znany widok dziadka czytającego prasę lub książkę w fotelu, pod lampą. Siedział blisko kominka, wyglądał jak wampiryczna postać z ekspresjonistycznego filmu (to porównanie przyszło mi do głowy dużo później). Dziadka nie interesowały sztuczne ognie. Lepsze w życiu widział. Nie sztuczne, tylko całkiem prawdziwe.

– Dziadku? – Spytałam, nie odwracając się, aby nie przeoczyć ani jednej eksplozji. – Byłeś kiedyś na balu? Takim prawdziwym?

– Nie raz – odparł dziadek głosem, który brzmiał, jakby wydobywał się z czeluści studni, grotu albo grobu.

– Opowiesz nam?

– Nie chcę słuchać o balu. Ja chcę o trupach i duchach – natychmiast zaprotestował mój brat, chociaż dobrze wiem, że i on chciał posłuchać o balu. To zresztą nieistotne, o czym



dziadek opowiadał. Każda jego historia była dobra. I straszna. Czasem wręcz potworna.

– Dziadku, o balu, trupach i duchach – zdecydowałam się na kompromis, który naprawdę niewiele mnie kosztował. Byliśmy chyba dosyć dziwnymi dziećmi, bo ogromnie lubiliśmy nie tylko słuchać ociekających krwią makabrycznych opowieści dziadka, ale też z wielką przyjemnością oglądaliśmy albumy z mumiami i starymi kościotrupami z twarzami – czaszkami wykrzywionymi w agonii.

– Rodzice nie pozwolili mi opowiadać wam takich historii.

– Jakich? – Spytałam niewinnie, chociaż znałam odpowiedź.

– Strasznych.

Fajerwerki się skończyły, a my z Gabsem w jednej chwili zleźliśmy z sofki i jako zgodne bliźnięta zaciągnęliśmy ją z powrotem na miejsce przy kominku, naprzeciwko fotela dziadka. Usiedliśmy grzecznie, a dziadek przysunął do nas okrągły stolik, na którym stały kieliszki z wygazowanym już dziecięcym, upiornie słodkim szampanem i półmisek kanapek zrobionych przez mamę.

– Czy bal był straszny? – Zagaiłam, popijając szampana, jak mi się zdawało, bardzo elegancko, z odgiętym paluszkiem.

– Każdy bal jest trochę straszny – odpowiedział dziadek z tym swoim uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy zawsze, gdy wspominał o czymś, co dla niego było oczywistą prawdą wynikającą z doświadczenia, a którą my poznać i zrozumieć mogliśmy dopiero z biegiem lat. Wtedy okropnie nas to wkurzało; dziś wiem, że to naprawdę niesłychane, ale on rzeczywiście niemal zawsze miał rację. Tak było też w przypadku balu. A raczej tego, w co dziś przeistoczyła się ta znana od wieków rozrywka. Romanse, miłosne zawody, zazdrość, mikro- i makrotragedie. To się nigdy nie zmienia. Inne mogą być tylko kostiumy i dekoracje, inne muzyka i styl tańca.

– Opowiadałem wam już o duchach, których nie było w pałacu Pusłowskich?



– Nie! – Wrzasnęliśmy chórem, a Gabs dorzucił:

– Ale mam nadzieję, że jednak były, bo inaczej do bani z takimi duchami.

Dziadek zaczął mówić, a my przemieszczać się razem z nim w czasie, który dla niego nigdy nie był liniowy.

Zaczął się od telefonu. Kiedyś był to list lub liścik przyniesiony przez umyślnego, zdarzał się nawet anonś w gazecie albo osobista wizyta. Karol Estreicher zadzwonił, chciał się spotkać na Plantach, nic więcej nie powiedział. Pomysł wydał mi się dziwny, bo zima była sroga tamtego roku. Mimo to poszedłem. Zlecenie to zlecenie.

– Zimno. Przejdźmy się, a ja panu powiem, w czym rzecz – rzekł Estreicher, gdyśmy się przywitali. – Chcą mi zabrać ten lokal po Pusłowskim. Pan wie, że ja dwadzieścia lat pracowałem na te darowizny i na ten lokal, żeby tam urządzić muzeum Paderewskiego? Teraz to sobie tym bardziej gratuluję, że zacząłem ruchome dobra wyprowadzać jeszcze za życia Xawerego, jak już leżał niedołężny i może nawet nie do końca świadomy. Niekiedy oczywiście protestował, bo to były często różne jego ulubione pamiątki, obrazy i inne rzeczy, do których był przywiązany. Ale w zasadzie to nie przeszkadzał, a ja tyle przynajmniej już uratowałem przed rozgrabieniem.

Zobaczyłem wtedy, kochani, tego starca leżącego na łożu boleści, wśród listów, ulubionych książek, miniatur, własnych wierszy, notatek i drogich rodowych pamiątek, których regularnie ubywa. Zobaczyłem go okradanego przez gości, szczególnie tych pomocnych miłych chłopców, ale o chłopcach wam opowiem kiedy indziej, a do tego zupełnie bezsilnego wobec przedsiębiorczego dyrektora muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w czynie społecznym, przekonany o słuszności swoich intencji wynosi co lepsze eksponaty z tego domu-muzeum. Dołączyłem ten tragikomiczny obrazek do mojej własnej kolekcji scenek rodzajowych.

– Pojawili się oczywiście jacyś krewni, dalecy Pusłowscy – narzekał dalej Estreicher, coraz bardziej rozszłoszczony całą sprawą – ale nie tylko oni się szarpią, bo też wszelakie instytucje mają chrapkę na pałac, dziekan Gładysz i inni różni intryganci. To są dosłownie zamachy! Wylęła się gdzieś plotka,

że tam straszy. Co więcej, plotka zatacza coraz szersze kręgi, jest jak kula śniegowa puszczona z góry. Każda bzdura się przyklei i leci dalej. Na przykład że Niemcy w czasie wojny nie chcieli zająć willi, nie tylko przez zimne posadzki, ale dlatego, że tam straszy. I teraz wystarczy, że coś stuknie, spadnie albo pojawi się jakiś cień i zaczyna się gadanie o spirytyzmie, mistycyzmie, duchach, demonach, upiorach i „niepokojącej atmosferze”. W dzisiejszych czasach! Przecież w każdym starym domu coś trzeszczy. Wie pan, te wszystkie parkiety i drewniane meble, chociaż tych gdańskich sporo udało mi się już wyprowadzić do Domu Matejki i Salonu Róż. Ale są jeszcze parkiety, stropy, stare belki, no i te schody. Drewno cały czas schnie, więc trzeszczy, wiadoma rzecz.

Wiadoma, niewiadoma, pomyślałem wtedy. Swoje wiem i niejedno widziałem. Toteż nie przytaknąłem, tylko spytałem:

– Mam sprawdzić pałac, tak? Zrobić inwentaryzację ewentualnych duchów?

– Tam nie ma żadnych duchów – oznajmił Estreicher kategorycznym tonem, a potem chyba zaczął rozważać, czy nie lepiej byłoby jednak mieć ducha w pałacu i móc nim odstraszyć tych, których pragnął usunąć z drogi. Dlatego dodał:

– Chyba.



Tymczasem znaleźliśmy się na wysokości pałacu Pustowskich. Jego neorenesansowa bryła wyłoniła się zza czarnych drzew przykrytych kołdrami śniegu. Do środka powinienem udać się sam. Ludzie zawsze zakłócają odbiór. Spytałem Estreichera, czy ma przy sobie klucze. Oczywiście miał.



Przekroczyłem próg i od razu poczułem, że w swej właściwej formie pałac przestał istnieć zaraz po śmierci ostatniego z rodu. Zresztą dezintegracja tych harmonijnie urządzonych wnętrz zaczęła się dużo wcześniej. Wszedłem na klatkę schodową z monumentalnymi, krętymi, dębowymi schodami, gdzie rzucający się w oczy brak gobelinów księcia de Créquy otulających przez tyle lat ściany był jak ślad po zdartej z ciała skórze. Spojrzałem na wiekowy portal prowadzący na korytarz i drugi, przez który wchodziło się do sali balowej. Przynajmniej przetrwało to, co z kamienia, bo do zabrania tego trzeba by jednak zawziętości większej nawet niż ta Karola Estreichera.

Dotknąłem nagiej zimnej ściany i przymknąłem oczy. Po chwili uczułem pod palcami miękkość starej, gęsto tkanej materii, a do moich uszu doleciały stłumione dźwięki mazura wygrywanego w komnacie za drzwiami. Jest coś smutnego w takiej radosnej muzyce dobiegającej z innych pomieszczeń. Coś każe wtedy przystanąć w pół kroku, z kieliszkiem w pół drogi do ust, papierosem w nieruchomej dłoni, wypalającym się bez naszego udziału, i przyjrzeć się wieczności, która robi się straszniejsza i coraz bardziej mroczna, aż do granic wytrzymania. Mój dawny znajomy T.S. Eliot popadał w ten stan w metrze, między stacjami, gdy światło zaczynało migotać. Ja odczuwam to w korytarzach między pokojami, w których trwa zabawa.

Naraz muzyka gruchnęła głośniejsz, otworzyłem oczy. Z sali, w której tańczono, wyszedł Karol, kuzyn Xawerego. Mój widok zaskoczył go.

– A, to pan – powiedział po chwili. – Będziemy grać w „Kroniki cypryjskie”. Maryszeta zaraz przeczyta, na czym skończyliśmy wczoraj. Przyłączy się pan? Znajdziemy panu jakąś dobrą rolę.

– Może potwora?

– A to świetnie pan trafił, bo dziś Sawa, a raczej Królowna Pisawa ma w planach spotkać potwora.

– Proszę mi powiedzieć, czy pada śnieg?

– Od kilku dni – odparł Rostworowski, udając, że to pytanie go nie dziwi.

Klatka schodowa w pałacu Pusłowskich w Krakowie, na ścianach gobeliny z kolekcji marszałka Francji, księcia Franciszka de Créquy, zaprojektowane najprawdopodobniej przez Charlesa Le Bruna, 1936. NAC



Musiał to być czas karnawału. Rok 1886. Wtedy karnawał to było coś. Dziś wystarczy jeden nędzny balik sylwestrowy. Na przełomie wieków bawiono się od końca stycznia do końca lutego, niemal codziennie. Ja jednak nie szukałem przecież rozrywki, tylko duchów. Gdy umilkły ostatnie takty mazura, udałem się za Karolem do rozświetlonego salonu. Sawa, lekko zdyszany po tańcu z panną Różą, podszedł do mnie i powiedział szeptem:

– Chwała Bogu, niedługo Popielec! Jeszcze tylko bal na Szlaku, potem piknik i będzie można odpocząć.

– Aż do Wielkanocy... – rzuciłem.

– Ale to już mniej tańczących wieczorów – z wyraźną ulgą odparł Xawery. – Widział pan może Mira? Miał grać z nami w „Kroniki”.

Więc chodziło o Mira, najmłodszego z braci Pusłowskich. Nareszcie zaczynałem rozumieć. Powiedziałem Sawie, że go odszukam.

Xawery Pusłowski w teatrze amatorskim w Krakowie, 1893. Zbiory specjalne Biblioteki Jagiellońskiej, sygn. Przyb. 1204/99

I znalazłem, na piętrze w saloniku. Siedział na tej pięknej pluszowej kanapie typu indiscret, przeznaczonej dla trzech osób wymieniających ploteczki. Miro był jednak sam. Wiedziałem, że od dziecka był chorowity, teraz wydał mi się jednak wyjątkowo niezdrowy. Jakby już wisiał nad nim wyrok samobójczej śmierci, a ta miała nadejść niecałe trzy lata później. Są ludzie, dla których przejście z wieku beztroskiej młodości w dorosłość okazuje się ponad siły. Tak było w przypadku nieszczęsnego Włodzimierza Pusłowskiego. Nie zdał jakichś egzaminów, nie powiodły mu się warszawskie plany. Żył więc w przekonaniu, że nic mu się nie udaje, pogrążony w morfinowym nałogu, mówiono też, że był nieszczęśliwie zakochany w żydowskiej dziewczynie z rodzinnych Czaraków. Czasem i mniej wystarczy, by się targnąć na swoje



Maria Pusłowska z synami Emanuelelem (Nelem), Xawerym (Sawą) i Włodzimierzem (Mirem). Zbiory specjalne BJ, sygn. Przyb. 1205/99

życie. Nie nam oceniać, kochani. Decyzja Mira była świadoma, a śmierć trwała na tyle długo, że zdążył jeszcze odmówić przyjęcia ostatniej posługi.

Wycofałem się i opuściłem salonik po cichu, nie dręcząc tej i tak już umęczonej perspektywą zabawy w radosnym gronie duszy. Idąc korytarzem w kierunku kuchni, czułem, że jestem blisko. Ten, kto tak nagle odchodzi z tego świata, często z jakiegoś powodu wraca.

Podobnie musiał myśleć Zygmunt Pusłowski, ojciec trzech braci, szukający pociechy w książkach mistycznych i przez wiele lat tropiący dowody na pozagrobowe życie syna podczas seansów spirytystycznych. A jednak seanse w pałacu Pusłowskich zasłynęły głównie z tego, że nigdy żaden duch nie był łaskaw nawiedzić uczestników.

Sufit kuchni, obecnie szary, był wtedy czarny jak bezgwiezdna noc. Goście usiedli wokół stołu. Czas znanego spirytysty Stefana Ossowieckiego jeszcze nie nadszedł, zacznie przychodzić jeszcze później. Miejsce medium zajęła jakaś kobieta. Kto dokładnie, trudno było orzec, gdyż jej głowę i twarz spowijał czarny koronkowy welon. Być może ta Czechówna, znana ze swej obfitości w ektoplazmowe płyny? Chociaż jej czas z kolei zdaje się już minął. Jedno miejsce było wolne.

– Proszę siadać – odezwał się hrabia, gdy tylko mnie zauważył, i zaraz dodał pełnym napięcia głosem, poprawiając druciane okulary: – Czekamy już tylko na pana.

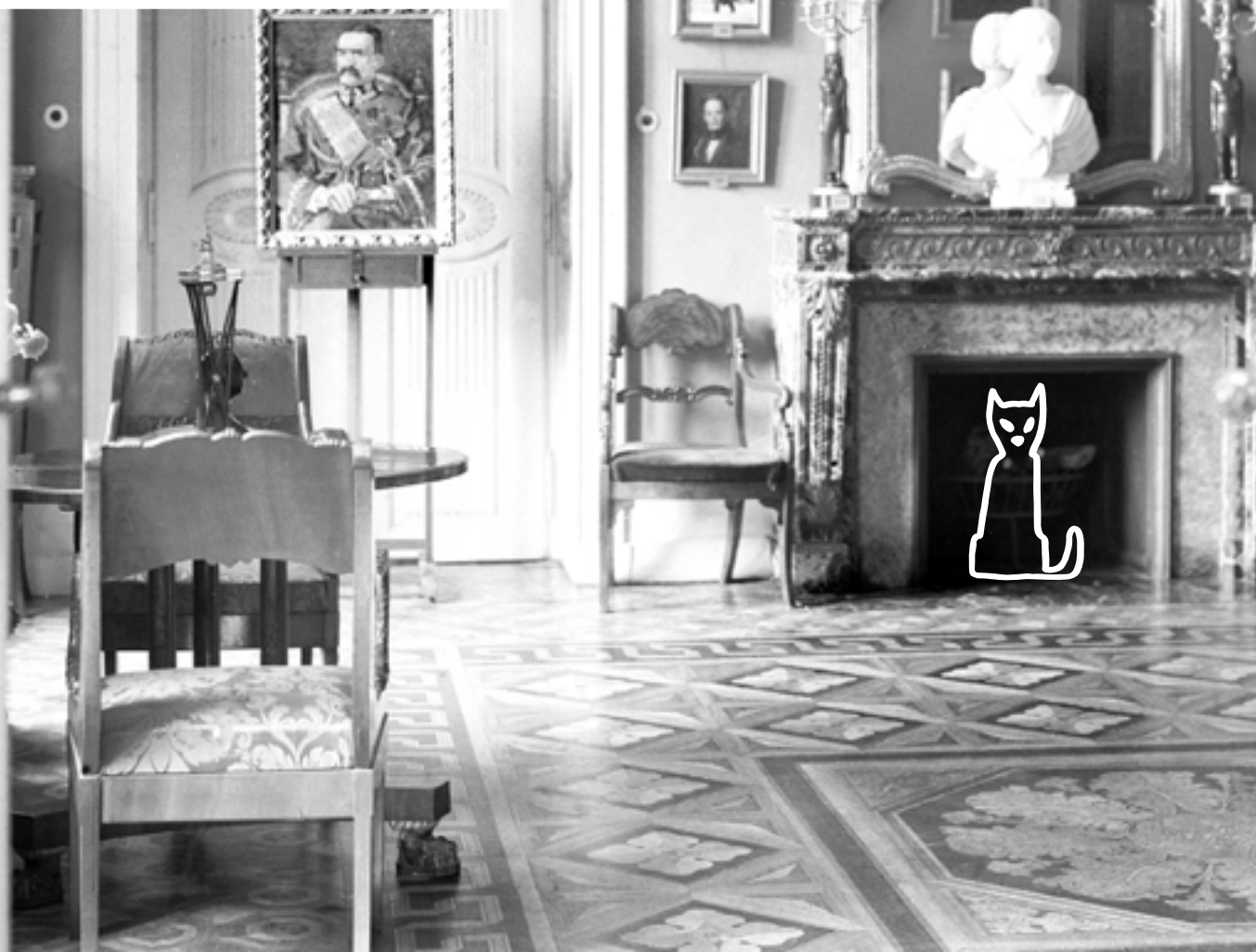


Usiadłem po prawej stronie medium i ująłem jej zimną, jakby nieludzką dłoń, zastanawiając się, czy ta dama aby nie przetrzymuje sobie przed seansami rączek w śniegu na przykład. Tak dla lepszego efektu. Oszustów nie brakowało, ale nawet ci, co widzieli co nieco z tego, co ja potrafię dostrzec, korzystali z przeróżnych sztuczek. Samo widzenie tych tak zwanych duchów nie ma w sobie nic ze spektakularności, której oczekuje publika. To w końcu widzenie niewidzialnego.

Po mojej drugiej stronie siedział Sawa. Ale był to już inny Sawa, nie tamten młody światowiec, z którym dopiero co, kilka lat temu, rozmawiałem w sali balowej o znojach karnawału. Zastanawiacie się czasem, dlaczego ktoś wcale nie pomarszczony jak stare jabłko, lecz alabastrowo gładki, mimo tej gładkości, prostej postawy i braku siwizny wygląda na swoje lata? To nic innego jak doświadczenie życiowe, które gasi w oczach ten jedyny w swoim rodzaju blask młodzieńczej naiwnej radości. Blask Xawerego zgasł wraz z Mirem.

Dokładnie naprzeciwnie mnie, w rogu, stał słynny szkielet, jeden z wielu szkieletów, które zgromadził Zygmunt w nadziei, że pomogą wytworzyć atmosferę odpowiednią na przyjęcie duchów. Dziwaczny koncept, pomyślałem, wpatrując się w turkusowe oczy czaszki, której szydercza mina zdawała się potwierdzać moją opinię.

Chwyciliśmy się wszyscy za ręce. Medium nakazało zamknąć oczy i mocno się skupić. Tak też zrobiliśmy. Zawołowana dama postękiwała, mruczała i charczała. Po chwili jednak znowu usłyszałem dobiegające z oddali dźwięki muzyki, grano chyba poloneza, lecz teraz te dźwięki były nie tylko stłumione, ale też odkształcone i jęklive, jak utwór z porysowanej płyty. Wspomnienia skażone późniejszym nieszczęściem. Gdzieś w środku domu trzasnęły drzwi, ale nikt z zebranych nie drgnął, chyba nikt poza mną tego nie usłyszał. Więc to musiał być on, a tak zwane medium było zwykłą oszustką. Poczułem powiew chłodu na twarzy i zapach ziemi. Otworzyłem oczy. W pustej, zimnej, starej kuchni zapadał zmierzch. W jego szarości dojrzałem Mira. Ciemny cień w otwartych drzwiach na korytarz. Zajrzał i poszedł dalej. Przeciąg zamknął drzwi z hukiem.



Trzasnęły wejściowe drzwi, a my z Gabsem podskoczyliśmy jak nasz kot na odgłos pierwszego wybuchu fajerwerków. Rodzice wrócili z balu. Musiało być już późno w nocy, albo nawet wcześniej rano. Oj, dziadkowi się oberwie!

– Dziadku, i co? – Spytałam szybko szeptem, słysząc dobiegający z przedpokoju szelest zdejmowanych płaszczy i stukot obcasów mamy. – Powiedziałeś temu panu o duchu?

– A skąd. Ten duch, jak większość duchów, chciał być zostawiony w spokoju. W pałacu Pusłowskich nie ma duchów. Każdy wam to powie.





FANTASTYCZNY PIESEK

PAŁAC POTOCKICH W KRAKOWIE

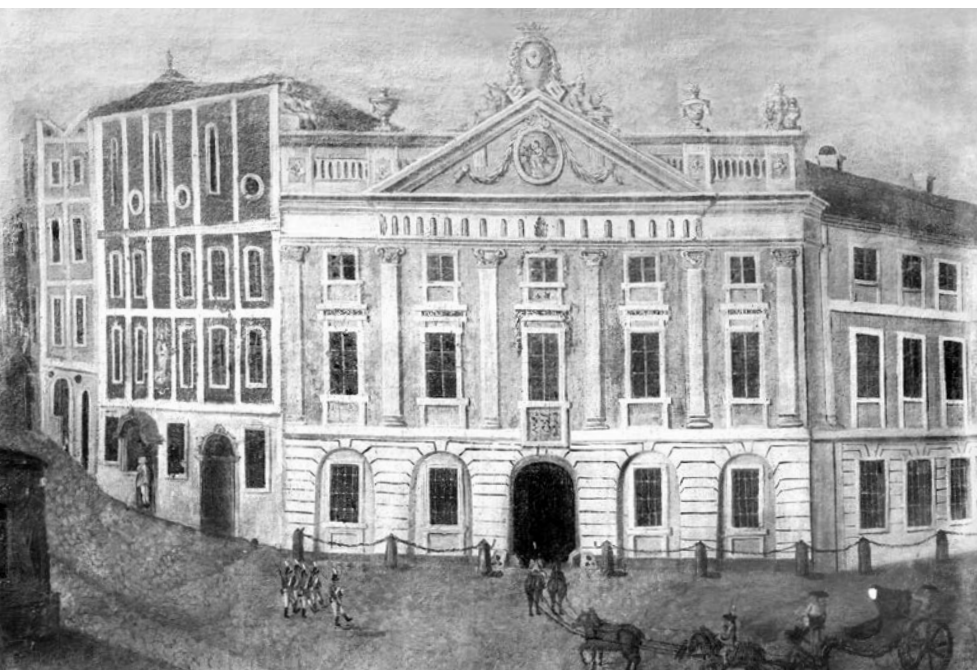
Naszym najlepszym kompanem z czasów dzieciństwa oczywiście był dziadek. Drugie miejsce zajmował piesek. Gypsa – mopsiczka – nie była zwykłym psem, który po prostu wykonuje polecenia. Ona naprawdę rozumiała wszystko, co do niej mówiliśmy. Bardzo aktywnie uczestniczyła w naszych zabawach, można też było prowadzić z nią długie i ciekawe rozmowy. A mój brat przysięgał nawet, że gdy zimą zachorowałam na ostre przeziębienie i tydzień leżałam w łóżku, on nauczył Gypsię grać w koszykówkę i raz zdarzyło się podobno, że złapała piłkę w przednie łapy i trafiła prosto do kosza! Wiem, jak to brzmi, ale to mogła być prawda. Gypsa była pieskiem naprawdę wyjątkowym.

O naszych wspólnych przygodach opowiadaliśmy rodzicom przy stole, karmiąc ukradkiem leżącą pod stołem suczkę wszystkim, czego nie lubiliśmy, a za czym ona przepadała. Niestety rodzice z jakiegoś powodu jej nie tolerowali. O jej obecność w naszym domu obwiniali, jak o wiele innych rzeczy, dziadka. Pamiętam, jak raz leżeliśmy pod drzewem

na kocu z komiksami, butelką wody z sokiem i torbą jabłek od sąsiada, i oczywiście z naszym psim przyjacielem. Był to pierwszy naprawdę ciepły czerwcowy dzień, więc okna w całym domu otworzono na przestrzał. Mama lubiła, jak przeciąg wydmuchiwał z pokoi pozimową stęchliznę i zaduch. Tarasowe drzwi prowadzące do salonu były rozsunięte, a muślinowe firany poruszały się w nich jak duchy. Wnętrze było ciemne, a z głębi domu dolatywały znajome tony *Lata z radiem*. Kogoś proszono właśnie o powrót z urlopu do domu „w pilnej sprawie rodzinnej”.

– Pewnie mu dom spłonął, jak u nas w 1850 – zgadywał mój brat, a sekundę później pacnął się dłonią w czoło: – Ale wtedy by nie prosili przecież o powrót do domu.

Uciszyłam Gabsa, bo doleciał mnie fragment rozmowy mamy z dziadkiem. Dotyczyła nas i Gypsi. Widocznie nie mieli pojęcia, że jesteśmy w ogrodzie i możemy wszystko usłyszeć.



Fotografia obrazu przedstawiającego pałac Potockich (wówczas Jabłonowskich), ok. 1810 r. Autorstwo zaginionego oryginału przypisuje się Michałowi Stachowiczowi, fot. N. Krieger, ok. 1900. Ze zbiorów MHK



Fasada pałacu Potockich, fot. Z. Lencse, 1958. Fortepan.hu, domena publiczna

– Tato, mam już naprawdę dosyć tego psa – mówiła mama.
 – Zrób coś z tym, bo to zaczyna być niepokojące.

– Niby co? Daj im spokój. Zobaczysz, że sprawa sama się w końcu rozwiąże.

Nie bardzo wtedy rozumieliśmy, co mama ma do naszego mopsika i o jakie rozwiązanie chodziło dziadkowi. Ale tamtego dnia zawarliśmy z Gabrielem niepisaną umowę, żeby przy rodzicach starać się nie zwracać na pieska uwagi. Jedynie przy dziadku nie musieliśmy się pilnować. W końcu Gypsię dostaliśmy w prezencie od pani Wandy, jego starej znajomej. Łączyła się z tym dosyć ciekawa historia, którą później wspominaliśmy z Gabsem i dziadkiem latami. Opowiadaliśmy ją sobie tak, jak każdy zapamiętał, a więc z masą drobnych przeinaczeń i osobistych interpretacji, poprawiając się nawzajem i sprzecząc o szczegóły.

Rodzice akurat wyjechali na kilka dni w sprawach zawodowych, zostawiając nas pod opieką dziadka. Następnego ranka po ich odejście, gdy jedliśmy śniadanie, zadzwonił telefon. Po minie dziadka od razu odgadliśmy, że był to jeden z tych „branżowych” telefonów, więc nastaviliśmy czujnie uszu, zamierając nad stygnącą, bladą jajecznicą. Gdy dziadek skończył rozmawiać, w naszych kubkach z kakao pływały już obrzydliwe kożuchy (potem takie kożuchy podawaliśmy pod stołem Gypsi, a ona zjadała je z wielkim smakiem). Dziadek odłożył słuchawkę i chwilę nam się przyglądał z nieodgadnionym wyrazem twarzy, a my czekaliśmy w napięciu.

– No dobrze – powiedział w końcu, jakby w odpowiedzi na niezadane, lecz wiszące w powietrzu pytanie. – Pójdziecie dziś ze mną na robotę.

Jak na komendę zamajtaliśmy pod stołem nogami z przejęciem.

– Gdzie mamy tę robotę, dziadku? – Spytał Gabs, z wyraźną przyjemnością akcentując słowo „robotę”. Był przekonany, że oto zaczniemy dziś u dziadka terminować i będziemy się przyuczać do zawodu.

– W pałacu Potockich na Rynku – odparł dziadek z poślizgiwym uśmiechem, który jednak zaraz spęłzył z jego ust,





a twarz przybrała srogi wyraz. – Macie mnie tam na miejscu bezwzględnie słuchać, potworki moje. To stare i wielkie domiszcze. Nie chcielibyście się zgubić w piwnicach tak rozległych i głębokich, że sięgają czasów, gdy nędznik Herman z Raciborza knuł tam ze swoimi kamratami przeciwko naszemu drogiemu królowi Łokietkowi, i nagle znaleźć się w epicentrum królewskiego gniewu, gdy karano tych łotrów.

– Nie chcielibyśmy, dziadku, oj nie – przytaknęliśmy.

– Dobrze. Ubierzcie się na cebulkę. Może być zimno. Różnie może być.

Dzień był październikowy i całkiem ciepły, ale żadne z nas nie śmiało kwestionować dziadkowego polecenia.

Przyjechał po nas administrator domu, pan Hołubowicz, i starą podniszczoną landarą udaliśmy się w kierunku Rynku. Po drodze rozmawiał z dziadkiem półgłosem, a my gapiiliśmy się na cudaczne nakrycie głowy administratora i jego dziwne oko z opadającą powieką. Przez to oko i cylinder wydawał nam się nieco straszny, jak upiór ze starej książki.

– Próbowaliśmy już proszków i pigułek od doktora Buzdygana, ale na nic się nie zdały. Jest coraz gorzej. Jakby coś obcego i złego chciało nią zawładnąć i ją pojąć. Zawezwaliśmy nawet owego sławetnego jezuitę, księdza Bratkowskiego, ale pomyślałem, że może pan coś zaradzi.

Dziadek prychnął na tego jezuitę, jakby go znał i nie bardzo ufał jego metodom.

Bramę od strony Rynku otworzył odźwierny, brudny i niechlujny człowieczyna, któremu dziadek nakazał mieć na nas oko. Nie pozwolił nam iść z sobą dalej, mieliśmy grzecznie czekać w holu. Usiedliśmy więc we wskazanym miejscu. Tymczasem im naprzeciw wyszedł facet nazywany przez Hołubowicza panem Wojtkiem. Facet zmierzył nas podejrzliwie, odchrząknął i powiedział szeptem:

– Można iść do jaśniepani.

Gdy w trójkę oddalali się w głąb pałacu, doleciały nas niespokojne, pełne trwogi słowa owego pana Wojtka.

– Podobno znowu cosik stukalo i drapało nocą w szybkę. Kłątwa, panie, jak nic! Jak nic ta upiorna kłątwa Ossolińskich.



Wie pan, ta rzucona ongiś na jednego z Ossolińskich przez pewną srodze pokrzywdzoną wdowę. Nawet jaśniepan nasz kochany ponoć kroki słyszał, co łążyły po pałacu jak po swoim. Odważny ten nasz pan wielce, bo ruszył ich tropem wkoło, jak za zwierzyną, ale ślad zgubił w salonie...

Spojrzeliliśmy na siebie z Gabsem uradowani. Duch! Nareszcie zobaczymy jakiegoś prawdziwego ducha! Ten odźwierny na szczęście słabo nas pilnował, a po chwili to już chyba całkiem o nas zapomniał. Po prostu gdzieś znikł. My zaś zaczęliśmy się zastanawiać, czy złamać obietnicę daną dziadkowi i ruszyć na przeszpiegi.

– Wiesz co? – Powiedziałam w końcu. – Chodźmy poszukać ducha. Nie wydaje mi się, aby wielcy odkrywcy słuchali swoich dziadków. Jesteśmy odkrywcami czy nie?

– Jesteśmy – przytaknął mój brat.

– No właśnie. Więc o to przecież dziadek nie może się gniewać.

I wtedy, jak na zawołanie, usłyszeliśmy truchcik małych łapek na kamiennej posadzce i z przejścia, w którym zniknął dziadek z tamtymi panami, wychynął jakiś piesek. Mały pocieszny mops. Przystanął, wlepiając w nas czarne, błyszczące jak paciorki oczka, po czym nagle odwrócił się i czmychnął. No to my za nim. Zobaczyliśmy, jak jego tłusciutki zadek ze śmiesznym ogonkiem znika w drzwiach do piwnicy. Bez namysłu zbiegliśmy schodami. Podziemia tonęły w ciemnościach, a zimne sale i korytarze ciągnęły się i skręcały niczym labirynt. W jednej tylko komnacie płonął w kominku ogień, który jednak nie dawał ciepła, a jedynie skąpo oświeślał wnętrze. W kolejnym lochu ujrzeliliśmy w końcu tego pieska. Stał w półmroku, merdając ogonkiem, a oczy jarzyły mu się na pomarańczowo poblaskiem padającym z kominka. Nagle coś się poruszyło w rogu ciemnicy i jakiś cień oderwał się od ceglanego muru. Z mroku wyłoniła się jakaś pani ubrana na czarno i stanęła w półcieniu. Wyglądała staro, na siwych włosach nosiła dziwaczny, koronkowy jakby czepiec, a suknię miała suto marszczoną i sięgającą ziemi, taką jak na bal.

– Widzę, że poznaliście się już z moją ukochaną mopsiczką. Ma na imię Gypsia. Zajmiecie się nią ładnie?



– No pewnie! – Zawołaliśmy strasznie uradowani, bo od dawna chcieliśmy mieć psa, żeby się z nim bawić i żeby nasz kot miał zwierzęcego towarzysza i się tak okropnie nie nudził.



– Udzielę wam kilku rad, jak się pieskiem zajmować, aby mieć z tego radość i ażeby wesoły i w dobrym zdrowiu się chował, nie był zakatarzony i nie był smutny. Słuchajcie uważnie. Jak mały – za pokarm dawać bułkę z mlekiem czy bułkę w rosole namoczoną...



– A kożuch z mleka? – Rzucił Gabs z nadzieją. – Tłusty wstrętny kożuch?



– Kożuch być może również – zgodziła się ta pani z lekką niecierpliwością, niezadowolona i chyba zupełnie nie nawykła, by jej ktokolwiek, a zwłaszcza taki smarkacz jak mój brat, przerywał. – Słuchaj młodzieńcze, gdy mówię. Jeśli mopsiczka posmutnieje, łyżeczka magnezji załatwi sprawę. Za napój nakażcie dawać jej wodę. Pożywienia udzielać trzy razy na dzień. Mięsa mierne ilości, kość również do zabawy rzucić można bez ujemy dla jej zdrowia. Jednakowoż słodkości surowo wzbraniam! I w żadnym razie nie napychajcie jej pokarmem nadmiernie, bo zachoruje, a wtedy rada weterynaryjna niezbędna.



Oszołomieni ilością informacji kiwaliśmy głowami, oczami jednak wodziliśmy za kręcącym się radośnie wokół naszych nóg pieskiem. Gdy w końcu ta pani skończyła nas zamęczać radami i sobie poszła z powrotem w ciemny kąt, mogliśmy zacząć wyczyniać dzikie harce z naszą rozkoszną psiną. Ganiailiśmy się po lochach, piszcząc i wrzeszcząc („jakbyśmy postradali zmysły i ciężko zachorowali na umyśle” – mawiał dziadek). Galopem wypadliśmy z piwnicznych pomieszczeń i pomknęliśmy za Gypsią na górę. Pamiętam, jak trzeszczały pod naszymi stopami drewniane, dosyć miżerne schody prowadzące na piętro, chociaż Gabs się upiera, że nie drewniane, a kamienne.

Na pierwszym piętrze było mnóstwo miejsca do pysznej zabawy. Cudne pokoje w amfiladzie – salon, jadalnia, przedpokój, biblioteka, salon... Można było ganiać się w kółko do upadłego. Przeciąg zatrząskiwał za nami drzwi, my już otwieraliśmy następne. U sufitu połyskiwały kryształły przykurzonych żyrandoli, które, poruszane podmuchami, dzwoniły z wdziękiem. Wnętrza pachniały kurzem, starymi obiciami i naftą. Czasem zastąpił nam drogę jakiś ciężki mebel z mahoniu albo ozdobny Ludwik XVI. Ze ścian obserwował nas korowód postaci, których spokój burzyliśmy bez specjalnych wyrzutów, bo przecież byliśmy dziećmi. Gabs zawsze powtarzał, że dzieci muszą się wyszaleć.



Epitafium suczki Gypsi spisane na arkuszu papieru, złożone do grobowca pieska w piwnicach pałacu w 1889 r., wyjęte podczas konserwacji w 1991 i zamurowane ponownie. Za: M. Hennel-Bernasikowa, *Pałac Potockich w Krakowie. Zarys dziejów*, Kraków 2016

Grupa gości zaproszonych na koncert wydany w salonie pałacu Potockich. Widoczna m.in.: Małgorzata Potocka (szósta od lewej w pierwszym rzędzie), 1934. NAC



W pewnym momencie Gysia poprowadziła nas do niewielkiego, nieładnie woniejącego pomieszczenia pełnego ptaków, które na widok psa, a potem nas podniosły wielki furkot i wleciały pod sam sufit, piszcząc, gruchając i bijąc skrzydłami. (Później w domu dziadek wyjaśnił nam, że to musiała być dawna ptaszarnia i ptaki Wątróbki księcia Stanisława. Długo myśleliśmy, że był to jakiś osobliwy gatunek ptaków – wątróbki księcia Stanisława). Z chmury unoszącego się w powietrzu ptasiego pierza i kurzu wyłoniło się ku nam dziecko, na pierwszy rzut oka w naszym wieku, bo takiego

jak my wzrostu, ale dziwne, bo z twarzą starego człowieka, pomarszczoną jak leżące w trawie jesienne jabłuszko. Ubrane ozdobnie i staromodnie jak na obrazach w muzeum, przepasane szarfą, za którą miało wetkniętą szablę czy też miecz (według dziadka była to karabela). A do tego złe przeokropnie i nieskore do zabawy.

– Ostawcie moje ptaki łapserdaki!

No to czym prędzej daliśmy dyla w ślad za Gysią, którą rejwach podniesiony przez ptaki i to rozgniewane dziecko z karabelą przeraziły nie mniej niż nas.

Dworzanin Stanisława Jabłonowskiego, karzeł Józef Wątróbka przedstawiony przez Jana Matejkę na obrazie *Batory pod Pskowem* jako pacholek bojarów moskiewskich, fot. A. Ring i L. Sandzewicz. Ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie, nr inw. ZKW/1047





Uciekając, znów wpadliśmy zdyszani do salonu. Tym razem zastaliśmy tam jednak pana i panią, którzy siedzieli sobie przy kominku i wpatrywali się w wiszący nad nim portret, przedstawiający jakąś piękną damę, obramowany girlandą liści laurowych. Przemknęliśmy cichaczem, tak by nas nie zauważyli. Niestety wywołany przez nas przeciąg dmuchnął wyjątkowo mocno i strącił kawał tej laurowej ramy. Gruchnął na ziemię z takim łoskotem, że ci państwo aż podskoczyli w swoich fotelach. Wystraszyliśmy się okropnie, że pójdą zaraz do dziadka na nas naskarżyć, więc czym prędzej zbiegliśmy na dół, gotowi udawać, że na krok nie ruszyliśmy się z miejsca.

Niestety, schodząc, usłyszeliśmy głos dziadka, który z irytacją wypytywał odźwiernego, jak też nicpoń zdołał nas zapodziać w tak krótkim czasie.

Portret damy z pocz. XVIII w. obramowany liściem laurowym (prawdopodobnie to o nim wspominają dzieci),
fot. J. Nowostawska-Gyalóakay, 2018. Z archiwum MIK

– Ja żem tylko się na chwilę zagapił, a wnuczeta szanownego pana dały na ten czas dyla za psem ku piwnicy.

– Za jakim psem? – Warknął dziadek.

– Ano takim śmieszonym pokrakiem, co kufę ma jakby ściany nie przyuważył i w nią wleciał co sił.

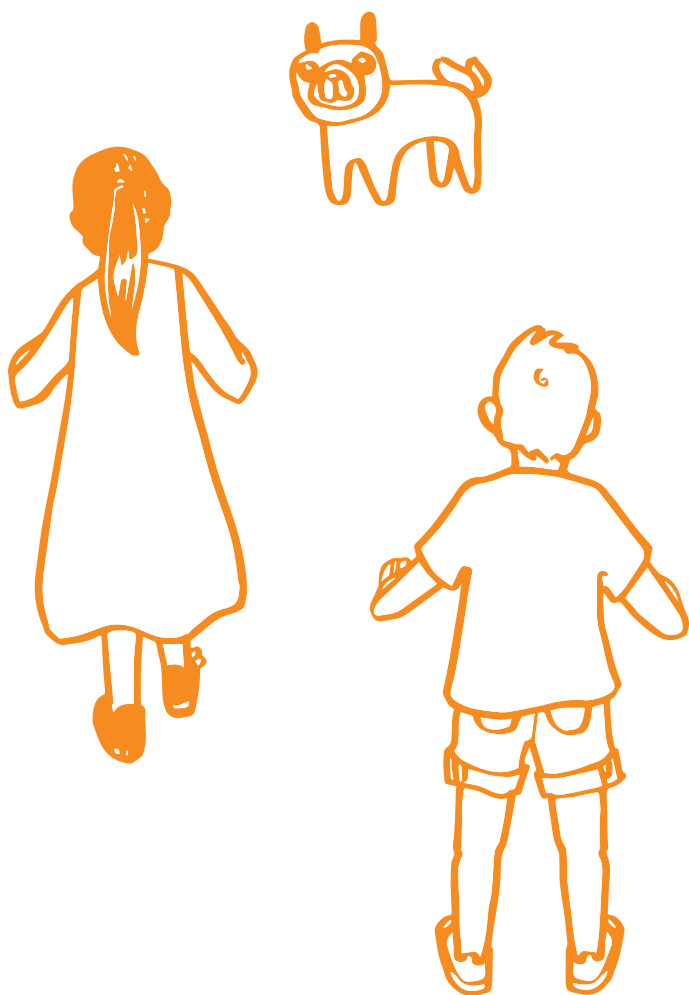
– Co gadasz za głupoty – skarcił odźwiernego pan Hołubowicz. – Nikt tu od lat żadnego psa nie trzyma. Mops tu był, ale dawniej...

Chcieliśmy wtedy pokazać im, że się mylą, ale Gypsia gdzieś nam się zgubiła, podczas tej ucieczki z salonu. Wyszliśmy więc zza winkła, starając się wyglądać na skruszonych. Dziadek omiótł nas znowu tym nieodgadnionym spojrzeniem. Patrzył długo. Wydawało mi się, że minęły dziesiątki lat albo całe wieki. Chyba wtedy właśnie nabrał pewności co do nas. Westchnął i jakby trochę posmutniał. Najważniejsze jednak, że się wcale nie gniewał, tylko powiedział, że pora wracać do domu. I nawet poklepał nas po głowach z większą niż zazwyczaj czułością.



Pani i pan z salonu to właściciele pałacu – Maria Małgorzata z Radziwiłłów i Franciszek Potocki. Fotografia została wykonana podczas ich ślubu w Ołyce w 1903 r. W krakowskim pałacu zamieszkali w 1909. Ze zbiorów rodziny Potockich

Najlepsze jednak było to, że w drodze powrotnej w pewnym momencie usłyszeliśmy za sobą znajomy truchcik. Gypsia! Mopsiczka dogoniła nas i wróciliśmy do domu razem, w podskokach, szczęśliwi pełnią szczęścia, jak to się niekiedy zdarza, gdy jest się dzieckiem, a później już nigdy aż tak. Jedyne, czego żalowaliśmy, to że nie udało nam się spotkać żadnego ducha, a przecież tak się napaliliśmy na oglądanie upiorów. Zgodnie jednak uznaliśmy, że pies jest dużo fajniejszy niż duch, a nawet kilka duchów. Więc ostatecznie byliśmy bardzo usatysfakcjonowani wizytą w pałacu Potockich.



Tylko rodzice, jak już wspomniałam, byli wyraźnie niezadowoleni z obecności Gypsi. Nie podobało im się, gdy bawiliśmy się z nią w ogródku, a nawet gdy tylko o niej z sobą rozmawialiśmy. Nie pozwalali nam jej dokarmiać pod stołem, bo od tego brudził się parkiet. Gdy podsłuchaliśmy przypadkiem rozmowę mamy z dziadkiem tamtego wiosennego popołudnia, przestraszyliśmy się, że nam zabiorą suczkę, więc przestaliśmy się przy rodzicach nią zajmować i cokolwiek na jej temat mówić.

A potem okazało się, że dziadek znowu miał rację. Stało się tak, jak powiedział – problem, jaki rodzice mieli z Gypsią, rozwiązał się sam. Któregoś dnia po prostu zniknęła. Może postanowiła, że czas wrócić do swojej starej pani. Lub była już tak wiekowa, że odeszła na dobre. Albo to my staliśmy się za duzi, żeby bawić takiego fantastycznego pieska.

Fragment placu św. Ducha z kościołem Świętego Krzyża, na pierwszym planie nieistniejący już dworzec autobusowy, 1936, NAC



CUDZE SNY

KLASZTOR DUCHACZEK
Z KOŚCIOŁAMI PW. ŚWIĘTEGO
TOMASZA I ŚWIĘTEGO KRZYŻA
W KRAKOWIE

Pewnej nocy miałam sen, w którym zobaczyłam rzekę szeroką jak Wisła, ale to nie była Wisła. A zabudowa wznosząca się na jej brzegach nie była ani krakowska, ani nawet polska. A jednak w jakiś sposób znajoma. Zobaczyłam przerzucony nad rzeką wysoki most, stały na nim kobiety ubrane w długie szaty. Unosiły w górę ramiona, w których trzymały niemowlęta, a następnie ciskały je jedno po drugim w ciemny nurt rzeki. Tymczasem na połów wyruszyli rybacy. Zarzucali sieci w różnych miejscach owej rzeki, a potem z wysiłkiem wyciągali ciężkie więcierze na pokład i uwalniali ich zawartość. Nie było w nich ryb. Tylko martwe niemowlęta.

Zbudziłam się gwałtownie we własnym łóżku, pokoju, domu. Chwilę słuchałam znajomych odgłosów. Uchwyciłam skrzypienie podłogi na dole w kuchni. Dziadek jak zwykle nie spał. Pewnie robił sobie właśnie herbatę. Noc listopadowa była chłodna, więc narzuciłam na piżamę szlafrok. Zeszłam na dół po cichu, nie chciałam zbudzić nikogo więcej.

– Zrobiłem herbatę – powiedział dziadek, gdy wślizgnęłam się do kuchni.

Postawił na stole pękaty, spowity w kłęby pary dzbanek. Obok czekały już dwie filiżanki, jakby się spodziewał,



że przyjdę. Wtedy byłam już nieco starsza i takie rzeczy nie dziwiły mnie u dziadka. Usiadłam na swoim miejscu, a on заняł ulubiony fotel. Chwilę wpatrywałam się w imbryk, czekając, aż herbata się zaparzy, w końcu chwyciłam go ostrożnie i rozlałam napar do filiżanek. Poczułam woń lipy i innych ziół, przywołujących cień jakichś wspomnień czy wyobrażeń, bardzo dalekich i rozmytych. Nawet nie wiem, czy moich.

– No i co słyszać? – Spytał dziadek. Spojrzałam na niego. To samo pytanie zadawał czasem naszemu kotu, trudno powiedzieć, czy naprawdę oczekiwał odpowiedzi. Równie dobrze mógł ją znać. Stary dziwak.

Ostrożnie pociągnęłam łyk herbaty i poczułam, jak spływa mi do żołądka, niczym gorąca rwąca rzeka.

– Miałam sen. Koszmar właściwie – zdecydowałam się jednak odezwać. Dziadek nic na to nie odrzekł, więc mówiłam dalej. Opowiedziałam mu całą wizję, sama zaskoczona tym, jak dobrze ją zapamiętałam. To był jeden z tych snów, które nie umykają zaraz po przebudzeniu, ale przyklejają się do człowieka jak rzep, nawet jeśli wcale sobie tego nie życzy.

Dziadek wysłuchiwał z uwagą, co było miłe, bo nie zawsze interesowały go „młodociągane bzdety”, jak niekiedy nazywał nasze historyjki, a nawet problemy. Nagle wstał i bez słowa wyszedł z kuchni, co było już mało sympatyczne, ale też dosyć dla niego typowe. Po chwili jednak wrócił, niosąc jakiś duży ciężki album. Usiadł i zaczął go w milczeniu kartkować. W końcu zatrzymał się i pchnął otwartą książkę w moją stronę. Spojrzałam na fotografię obrazu.

Na pierwszym planie rzeka w odcieniach błękitu, mułu i błota rozlewała się szeroko. Na obu brzegach wznosiły się budynki z żółtego kamienia. Brzegi łączył kilkuprzęsłowy most z tego samego materiału. Obróciłam stronę. Kolejny obraz, inny styl, może nawet inny most. Lecz na pewno była to ta sama rzeka, brzegi porastały domy tego samego miasta. Nad miastem lazurowe, niemal bezchmurne niebo, nadziane na wierzchołki strzelistych cyprysów, których zapach, zmieszany z wonią wodorostów i rybackich sieci, unosił się teraz w naszej kuchni.



– *Il ponte Sant Angelo sul fiume Tevere a Roma* – przeczytałam i podniosłam wzrok na dziadka. – Tak, to było to miejsce. Ale ja nie byłam w Rzymie, prawda dziadku?

Dziadek nie odpowiedział na moje pytanie, tylko zadał mi własne, tonem lekarza badającego objawy i symptomy:

– Czy sen był straszny?

Musiałam chwilę pomyśleć, nim odpowiedziałam z całą pewnością.

– Nie. Właściwie to nie. To było jak wspomnienie jakiegoś starego problemu, z którym się uporano.

Skrzyżowanie ulic św. Tomasza i Szpitalnej, na pierwszym planie bryła kościoła św. Tomasza, który na początku XIX w. wraz z dwiema kamienicami przy ul. Szpitalnej stał się częścią kompleksu klasztoru ss. duchaczek. Z Archiwum Narodowego w Krakowie (dalej ANK), sygn A-II-221



– Tak. Papież Innocenty III miał kiedyś podobny sen. Ten sen stał się legendą wiążącą się z początkami szpitala św. Ducha w Rzymie. Gdyby kiedyś przyszedł ktoś w tej sprawie, a mnie akurat nie było, załatw to.

I tak pewnego dnia, idąc ulicą Szpitalną od strony rynku, znalazłam się na placu św. Ducha. W ostatniej chwili uskokczyłam spod kół dorożki, zapatrzona w podłużną, nieco toporną i bardzo już zaniedbaną bryłę szpitala św. Ducha, niegdyś najważniejszego szpitala Krakowa, którego początki sięgały połowy XIII wieku i od którego nazwę wzięła ulica. Budynek zrósł się z kościołem zakonu duchaków, ich powinnością była opieka nad chorymi. Tył kościoła z kolei łączył się z rozległymi zabudowaniami klasztorowymi. Zakon został dobrze uposażony i swego czasu prowadził szeroko zakrojoną działalność, opiekując się nie tylko chorymi i ubogimi, ale też podrzutkami, ciężarnymi kobietami i „leżącymi po ulicach”,

Zakonnik i zakonnica w habitach zgromadzenia Ducha św. de Saxia (z łac. *Ordo Fratrum Canonicorum Regularium Sancti Spiritus de Saxia*), rycin z poł. XIII w. Wikipedia, domena publiczna

jak mawiał dziadek. Poza tym przyjmowano tu również pod opiekę ubogich studentów. Nowy budynek, powstały po pożarze miasta w XVI wieku, mógł pomieścić niemal trzystu dorosłych i osiemdziesięcioro dzieci. Był jednocześnie domem starców, lecznicą, porodówką i, tak jak chciał papież Innocenty III, można tu było w specjalnym oknie pozostawić podrzutka. Szpital stał się największą instytucją tego typu w Krakowie. Dziwny był ten labirynt łączących się z sobą podwórek i rozmaitych budynków. Wyspiański trafnie opisał to miejsce, nazywając je miasteczkiem opasanym murem. Dziewiętnasty wiek miał się ku końcowi, więc budynkom tym zostało niewiele czasu. Sypał się szczyt kościoła, spadały dachówki, spod brudnego tynku na spękanych ścianach wyglądała cegła. Na tyłach już wytyczono działkę pod teatr. Instynktownie czułam, że nic tu po mnie. Równocześnie wspomnienie Wyspiańskiego pchnęło mnie dalej, w stronę kościoła Świętego Krzyża.



Weszedłem do kościoła. Trwały właśnie prace restauracyjne fundowane przez Krakowską Kasę Oszczędności, pod kierunkiem architektów Tadeusza Stryjeńskiego i Zygmunta Hendla.

W górze, na najwyższym piętrze rusztowania, w półcieniu stał staroświecki pluszowy fotel. Siedział w nim Stanisław Wyspiański i odpoczywał. Miał na sobie zakopiański kożuszek, a przy boku piecyk z żelaznych prętów, w którym żarzyły się czerwone ogniki węgla. Mimo to wyglądał na zmarzniętego, bo w kościele hulały przeciągi, gwizdząc po całym wnętrzu. Malarz wpatrywał się w niewyraźne zarysy i blade kolory na wschodniej ścianie nawy na wprost jego siedziska. Renesansowy fresk *Speculum Peccatoris* przedstawiał miał starca siedzącego na składanym krześle. W jego ciało wbite były miecze. Tak wyglądało to malowidło w czasach swego powstania i tak mniej więcej miało wyglądać już niedługo. Jednak to, co z niemal miłosną fascynacją chłoniął wzrokiem Wyspiański, było wciąż zaledwie cieniem starej polichromii.



Kościół Świętego Krzyża od południowego wschodu, rys. S. Wyspiański.
Z archiwum MHK



Musiał słyszeć skrzypnięcie głównej bramy, gdy wchodziłam, i moje kroki na posadzce, ale zareagował dopiero po chwili. Spojrzał w dół. W półmroku popołudnia jego szczupła blada twarz nabrała trupio zielonego odcienia, płomienie piecyka rzucały na nią refleksy, wydobywając niezdrowe rumieńce, jakby trawiła go gorączka.

– Oczekiwałem innego gościa – odezwał się.

– Dziadka nie ma. Jestem ja.

– A pani potrafi mi pomóc?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. Długo musiałabym mu tłumaczyć, na czym polega nasza działalność, a nawet gdyby mi się to udało, wiem już z wieków doświadczeń dziadka i moich własnych, że pojawiłyby się kolejne pytania i prośby, a nawet błagania, groźby, łzy. Wiele potrafiliśmy zobaczyć, ale wąski był zakres spraw, w których mogliśmy rzeczywiście działać. Nasza rola sprowadzała się nawet nie do bycia katalizatorem, ale jakąś jego mikrowersją. Można by to porównać do zefirku, który przesuwa liść lub marszczy falę.

Wnętrze kościoła Świętego Krzyża w Krakowie, fot. A. Wisłocki, l. 20. XX w.
Ze zbiorów Biblioteki Narodowej (dalej BN), domena publiczna

– To po co pani tu przyszła?

– Myślałam, że może chodzi o szpital – odparłam mętnie, rozglądając się, jakbym się spodziewała, że gdy będę patrzeć wyjątkowo dokładnie, dojrzę tu gdzieś jakiś szpital.

– Szpital św. Ducha? – zdziwił się artysta. Wiedziałam, że przygląda mi się teraz bardzo podejrzliwie. – Przecież dawny szpital zburzono jeszcze w latach osiemdziesiątych, a resztę zabudowań poduchackich w 1892 roku. Nie pamięta pani, jak Matejko się oń bohatersko awanturował? Zresztą nie on jeden.

Pokręciłam przecząco głową.

– Cóż, teraz mamy teatr. Być może ludziom bardziej jednak potrzebny jest teatr. Trudno czasem ocenić, czy lepsze jest stare czy nowe. Chociaż są i momenty, kiedy staje się to jasne, bez absolutnie żadnych wątpliwości. Ja sam to wiem po sobie. Miałem pomysł na ten Święty Krzyż. Niech pani sobie wyobrazi, że był to koncept nadzwyczaj świeży, bez wad czy niejasności, i naprawdę czułem, że wykonać go warto. Żyłem tym projektem. Ale wobec tego tu odkrycia – zatoczył dłonią, a jego twarz przybrała błogi wyraz – wobec tego renesansowego skarbu ukrytego pod marnym barokiem tamten mój pomysł upadł zupełnie. Porzuciłem własny projekt niemal bez żalu z dnia na dzień, przekonany o słuszności porzucenia równie mocno, jak chwilę wcześniej przekonany byłem o tem, że warto ów koncept zrealizować. Ale renesans! Renesans w Krakowie, rozumie pani? Tu nie ma żadnych wątpliwości czy chwili na wahanie. To niemal żywy, namacalny, cudny dowód minionej chwały naszego kraju.

Usiadłam po prawej stronie nawy, w zimnej drewnianej ławie, tak by dobrze widzieć malarza pracującego na rusztowaniu. Co ja robiłam w tym miejscu, dokąd przywiódł mnie upiorny sen papieża z końca XII wieku, skoro nie istniał już szpital zakonu Świętego Ducha, któremu Innocenty u zarania dał wielkie poparcie i liczne przywileje?

– Przerysowuję te wielkoludy i kopiuję ręką, którą po części prowadzi moja własna wizja, a nie rzeczywisty stan. Czasami po prostu trudno odczytać coś z tych murów – usłyszałam głos dobiegający z góry. Nie wiem, czy Wyspiański mówił

Kościół św. Ducha przed zburzeniem w 1892 r., w tle widoczna wieża kościoła Świętego Krzyża, reprodukcja fotografii wykonanej w zakładzie fotograficznym Kriegerów w Krakowie. NAC



do mnie czy do siebie, ale jego słowa niosły się echem po wiekowej świątyni, odbijały od ścian, łukowatego sklepienia i szachownicy posadzki, a potem dźwięczały jeszcze dłuższą chwilę w bocznych kaplicach i kruchcie. – Niech pani spojrzysz. Na tych murach zostały właściwie tylko widma i zmyry, takie, co mogą wstać z grobów albo przyśnić się w upiornym śnie.

Podążyłam za jego spojrzeniem, tam gdzie na lewej ścianie u góry majaczyła jakaś postać sporych rozmiarów, pierwotnie zapewne majestatyczna i potężna, lecz upływ czasu, kolejne warstwy tynku i dopływ świeżego powietrza zmieniły ją w rachityczną zjawę, cień na murze. Wtedy właśnie podmuch listopadowego wiatru wślizgnął się przez którąś szczelinę i poruszył konstrukcją rusztowania. Deski zatrzęszczały, zaszeleścił papier i z góry spłynęły wielkie płachty rysunków. Opadły na posadzkę obok mojej ławki. Rozpoznałam rozkawałkowaną na wielkie puzzle postać. Po właściwym dopasowaniu rysunki układały się w figurę, której ducha oglądałam chwilę wcześniej na odsłoniętej polichromii. Biskup Iwo Odrowąż w biskupiej mitrze, z pastorałem zakończonym zawijaszem, w obszernym ornacie i purpurowej dalmatyce z mnóstwem załamujących się krzywizn. Wyglądał jak Święty Mikołaj, który przychodził do nas z prezentami 6 grudnia, gdy byłam dzieckiem.

Historia przeze mnie oglądana zaczynała nabierać sensu, jednak nadal nie wiedziałam, po co tu jestem, w tym właśnie miejscu i czasie. Biskup wpatrywał się we mnie wielkimi oczami pełnymi zadumy, grozy i wiekuiestej ciszy, w którą wdarło się znowu echo niosące słowa Wyspiańskiego.

– A jednak gdy zapada zmrok, tak jak teraz, i na te ściany biją łuny, jak mdłe płomienie ognia, te cienie ożywają na moment i patrzą, czasem do mnie mówią...

Teraz i ja zobaczyłam ruchome poblaski padające na mury od strony piecyka, którym dogrzewał się malarz.

– ...i słyszę nawet jak dzwonią na Anioł Pański, dolatuje mnie z wawelskiego wzgórza stłumiony głos Zygmunta...

Potem zamilkł, a gdy wybrzmiało echo jego słów piecyk dogasł, łuny zbladły, zniknęły dawne śmiało kreślone szerokie, czarne linie, girlandy roślin na sklepieniu, fantastyczne



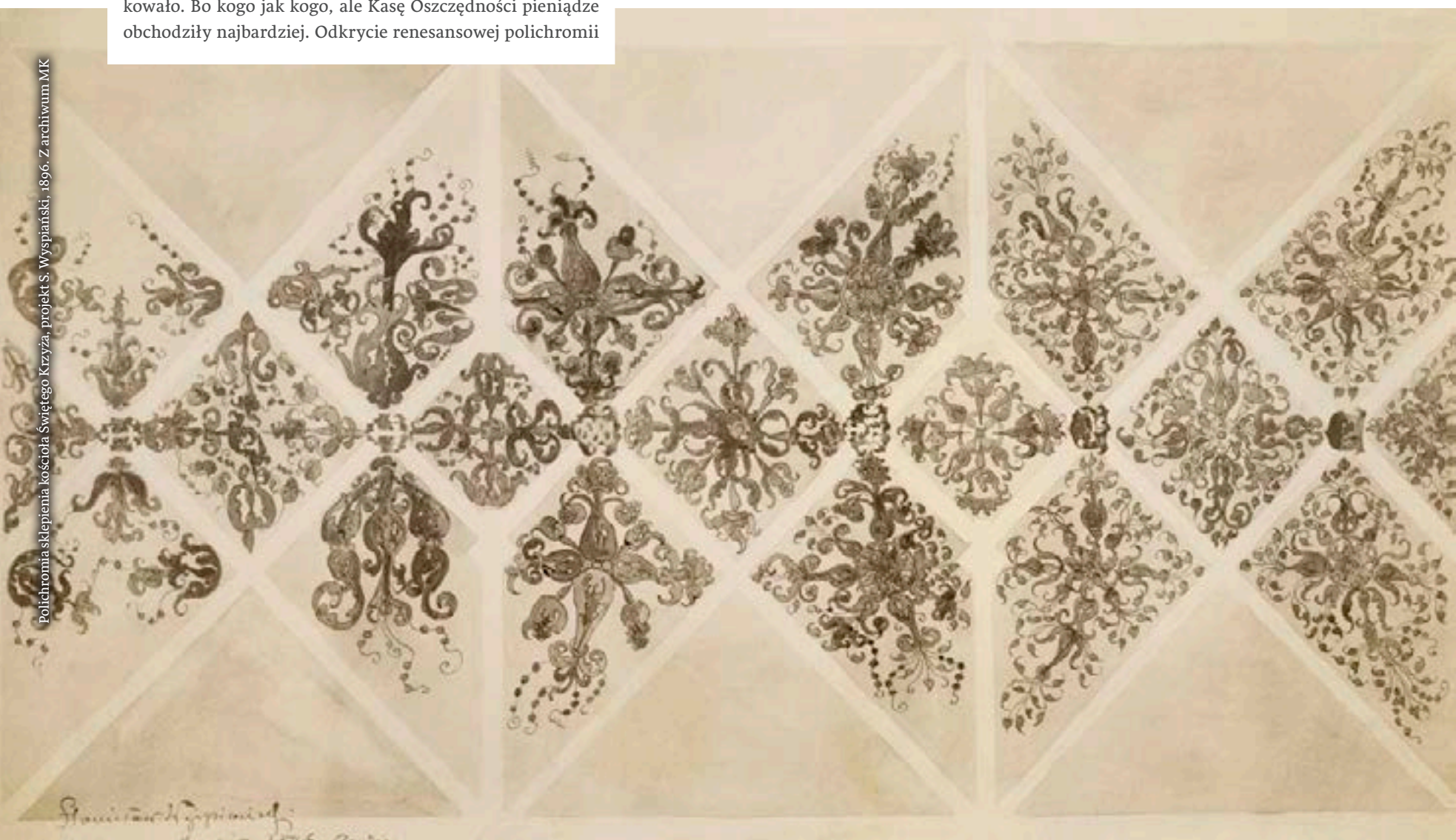
zwoje, gryfy i ptaki. Znieruchomiały ożywione na chwilę duchy ojców Kościoła, biskupów i świętych. Zostały zaledwie ich cienie, ale również te mary renesansu odchodziły szybko w ciemność.

W tej ciemności olśnienie spłynęło na mnie niczym czarne światło (w naszych kręgach znane jest pojęcie mrocznej

Wnętrze kościoła Świętego Krzyża w Krakowie, pośrodku filar podtrzymujący tzw. sklepienie palmowe, w głębi malowidła odtworzone przez A. Tucha na podstawie kartonów S. Wyspiańskiego, ok. 1898, fot. N. Krieger. Z archiwum MK

iluminacji, to nic przyjemnego, raczej nikomu tego nie życzę). Wszystko odchodziło w ciemność, opadało w głębię rzeki zapomnienia, w nicość. Praca, którą z zaangażowaniem prawdziwego, szczerego artysty wykonywał tu ten człowiek, też miała okazać się daremnym trudem. Ogarnął mnie autentyczny smutek na myśl o jego entuzjazmie, radości z odkryć i szczerzej miłości, jaką darzył te zmurszałe malowidła, tych swoich wielkoludów, te esy floresy. Żał mi się zrobiło jego poświęcenia i jego czasu (który był już skąpo policzony). Zwyczajnie szkoda mi było twórczego marzenia, które zniszczyły jak te dawne freski. Jego mało obchodziły finanse, znaczenie miały wizja, efekt, dzieło. Tymczasem funduszy brakowało. Bo kogo jak kogo, ale Kasę Oszczędności pieniądze obchodziły najbardziej. Odkrycie renesansowej polichromii

wygenerowało nowe koszty, nieprzewidziane w pierwotnym planie renowacji. Z tego, co słyszałam, Stryjeński nie chciał, aby malarz uzupełniał stare malowidła własnymi projektami. Planował ograniczyć prace do rekonstrukcji odkrytych fresków. Już pewnie ugadywał się z przedsiębiorcą budowlanym Antonim Tuchem. Uważał widać, że każdy może wykonać taką robotę. Już znałam finał tej historii. Czułam wściekłość. Nie powinnam się angażować emocjonalnie, ale nie byłam dziadkiem ani moim bratem. Wyspiański miał pomysł na kościół Świętego Krzyża, ale ja niestety nie miałam pomysłu na tę sytuację.



Po cichu opuściłam to miejsce i wyszłam na plac. Nie było ani kościoła św. Ducha, ani szpitala. Nie było już nawet międzywojennego dworca autobusowego. Plac stał się rozległym parkingiem dla samochodów, na którym ja zostawiłam swój rower. Na tle granatowego nieba pyszniła się neobarokowa, przypominająca ogromny herbatnik bryła teatru Słowackiego, który mimo nadania mu tej nazwy w świadomości krakowian funkcjonował i nadal często funkcjonuje jako teatr Stanisława Wyspiańskiego.

Siedzieliśmy znowu przy naszym kuchennym stole. Za oknami trwała inna noc, styczniowa. Dziadek wysłuchiwał relacji ze spotkania, jego twarz jak zwykle pozbawiona była wyrazu. Trudno było powiedzieć, czy temat w ogóle go interesuje.

– Ciężko patrzeć – powiedziałam na koniec – gdy ten kopiuje malowidła dzień w dzień w tej upiornej zimnicy, znosi je do swojej pracowni, rozwiesza, siedzi z nimi i z nimi gada jak wariat, podczas gdy za jego plecami Stryjeński dogaduje się z Tuchem...

– Antek to zwykły rzemieślnik.

– Nie znam go, ale wiem, że te artystyczne sny zniszczy.

– Niewiele da się zrobić – powiedział dziadek. – Stryjeński już w połowie stycznia wypożyczył Tuchowi plany i rysunki sporządzone przez Wyspiańskiego. A ten biedak siedzi nad kosztorysem i nic o tym nie wie. Niewiele da się zrobić.

– Niewiele da się zrobić?

– Niewiele.

– Dlaczego zaprosiła pani Tucha do mojej pracowni? – Artysta nie krył oburzenia.

– Zaprosiłam go w pana imieniu. Posłałam mu liścik, że chce mu pan pokazać te szkice przedstawiające ojców Kościoła...

– Czy pani postradała zmysły? – Wyspiański chwycił się za włosy i zaczął je szarpać, jakby to on postradał zmysły. – On? Tu? Pokazać mu? Przecież oni mnie okradli...!

Czasu na działanie było niewiele. Na tłumaczenie jeszcze mniej.



– Sprawa wygląda tak. Praca nad Świętym Krzyżem jest dla pana skończona. To pewne. Przecież pan to wie. Pan się już po tym wszystkim nie dogada ze Stryjeńskim nawet za mniejsze pieniądze. Tuch będzie robił według pańskich planów tak czy siak, bo je fizycznie posiada. Jedyne, co pan może zrobić w tej sytuacji, to na tym przynajmniej cokolwiek zarobić. Ja wiem – sztuka, dzieło, sen, marzenie. Wszystko pięknie, ale zarabiać trzeba. I za wykonaną robotę Kasa musi zapłacić kasę. O dziesięciu tysiącach niech pan jednak zapomni. Ale nie wolno panu wziąć mniej niż tysiąc trzysta. Minus zadatek niestety. Więc gdy Tuch tu przyjdzie, pan od razu wyjdzie i go tu zamknie dobrze na klucz. A ja już dopilnuję, aby nie wylazł, zanim pan nie odzyska swojej własności. Niech pan zabierze od niego wszystkie swoje plany i rysunki, które pan znajdzie. Nie twierdzę, że będzie miło. Może się nawet policja wmieszać w tę aferę. To nic. Racja jest po pana stronie. Chcą plany, to niech je kupią, psia mać! Przepraszam najmocniej. Jakby co, to Estreicher i Mehoffer panu pomogą, będą mediatorami w rozmowach ze Stryjeńskim i Kasą. Nic więcej w tej sprawie zrobić się nie da.

Być może dziadek załatwiłby to lepiej. Być może z mniejszą szkodą dla biednego, oszukanego artysty i większym pożytkiem dla wnętrza zabytkowego kościoła. A może, tak jak mówił, „niewiele dało się zrobić”, bo zakres naszych możliwości jest mikroskopijny. Niewiele większy ponad samo tylko widzenie pewnych spraw.

Dom Arcybractwa Miłosierdzia w Krakowie u zbiegu ulic Siennej i Stolarskiej, na elewacji widoczny napis „DOM UBOGICH X. P. SKARGI”, 1931. NAC



TAJEMNICA SKARBCA

DOM ARCYBRACTWA MIŁOSIERDZIA
I BANKU POBOŻNEGO W KRAKOWIE



Któregoś letniego ranka, zdaje się w sierpniu, gdy były z nas jeszcze bardzo niewiele rozumiejące baki, planowaliśmy z Gabsem napad. Scenariusz napadu przygotowywaliśmy w naszym pokoju, leżąc w piżamach na podłodze i z mozołem nanosząc na kartki wyrwane z bloku rozkład pomieszczeń w naszym domu. Prowadziliśmy przy tym ożywioną dyskusję, którą część domu najbardziej opłaca się zaatakować i złupić.

– Kuchnię! – upierał się Gabs. – Ogołocimy szufladę ze słodyczami i szafkę z bombonierkami. Wiem, gdzie mama trzyma klucz. Porobimy sobie zapasy.

– Jesteś głupi – prychnęłam. – Lepiej zrobmy skok na sypialnię rodziców i szkatułkę z biżuterią. Fanty można spieniężyć i kupić tyle słodczy, że się porzycamy.

Brat popatrzył na mnie podejrzliwie. Z satysfakcją zauważyłam, że zbił go z tropu zwrot „spieniężyć fanty”, który zasłyszałam w jakimś filmie dla dorosłych, a może wyłapałam z którejś historyjki dziadka.

– Sama jesteś głupia – odburknął Gabs – nie masz pojęcia, o czym gadasz.

– Jak nie wierzysz, to zapytaj dziadka. Jest takie miejsce, gdzie możemy zanieść klejnoty i dostać pieniądze od ręki. Dziadek był tam niedawno.

– W banku? Mama mówiła, że dziadek poszedł do banku.

– Bo nie chciała, żebyśmy znali prawdę. Słyszałam, jak powiedział, że ma schadzkę w lombardzie w sprawie fantów, a mama się nieźle wkurzyła.

W tym momencie rozległ się dzwonek, po chwili usłyszeliśmy, jak dziadek wita się z mamą. Podczołgaliśmy się pod zamknięte drzwi naszego pokoiku, ale niewiele było słychać. Dobrze jednak znaliśmy ten ton mamy. Na pewno znowu pouczała dziadka, o czym wolno lub nie wolno mu do nas mówić, oraz gdzie może nas zabierać, a gdzie kategorycznie nie.

– Odczekamy, aż starzy pójdą do roboty – powiedziałam szeptem do Gabsa – a potem zadamy dziadkowi kilka pytań.

– Niewygodnych pytań – Gabs też oglądał dużo nieodpowiednich dla dzieci filmów. – Ale czy będzie sypał?

– Wszystko wyśpiewa. Musimy go tylko sprytnie podejść.

Gdy drzwi za rodzicami się zatrzasnęły, odczekaliśmy jeszcze trochę, słuchając, jak drewniany parkiet skrzypi pod stopami dziadka. Z kuchni dobiegało trzaskanie czajnika, dziadek stawiał go na kuchence, i szcęk rozkładanych na stole naczyń. Po chwili zawołał nas na śniadanie.

Uznałam, że posiłek to dobry moment na przeprowadzenie akcji wywiadowczej. Gdy dziadek schował się za płachtami gazety, wymieniliśmy z bratem porozumiewawcze spojrzenia. Pokazałam na migi, że to ja będę zadawać pytania.

– Dziadku, znasz jakiś dobry lombard? – spytałam od niechcenia.

Dziadek wyłonił się zza gazety z dziwnym uśmiechem.

– Dobry lombard?

– Tak. Założmy, że mamy jakieś fanty do opylenia, wiesz, za dobre pieniądze. Rozumiesz?

– Jasne. Domyślam się, że chodzi o klejnoty.

– No cóż, tak.

– Znam taki jeden lombard. Ale czy jesteście pobożni i potrzebujący? Czy chcecie tych pieniędzy *non pro divitiis*, ale z prawdziwej potrzeby pożywienia?

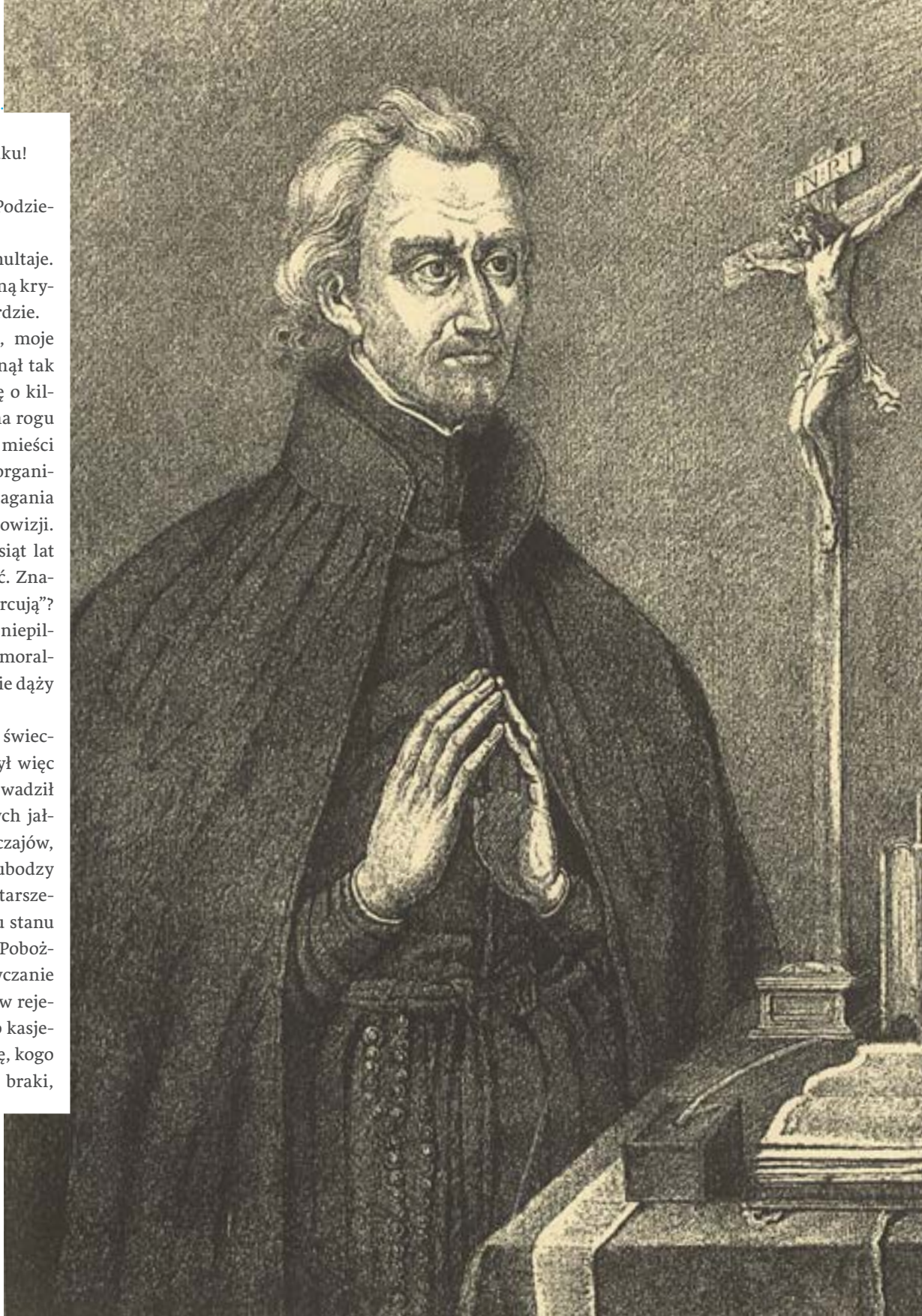


– Tak! – Krzyknął Gabs. – Z potrzeby jedzenia dziadku!
 – Niestety nie wpuszczą was, boście za mali.
 – A wchodzisz w to z nami? – Zaproponowałam. – Podzielimy się szmałem. Odpalimy ci równą działkę.
 – Tak, ale musicie zrozumieć, w co się pakujecie, hultaje. Tak się składa, że jakiś czas temu rozwiązywałam pewną kryminalną sprawę w jednym takim nietypowym lombardzie.

Są miejsca, o czym sami się kiedyś przekonacie, moje głuptasy, gdzie czas stanął w miejscu, a niekiedy stanął tak dawno, że po przekroczeniu progu, człowiek cofa się o kilka stuleci. Tak właśnie jest w przypadku kamienicy na rogu Siennej i Stolarskiej, w której od ponad czterystu lat mieści się Arcybractwo Miłosierdzia i Banku Pobożnego, organizacji założonej przez Piotra Skargę, znanej ze wspomagania ubogich i pożyczania pieniędzy pod zastaw bez prowizji. Ja kochani zawitałam tam jednak dobre siedemdziesiąt lat po tym jak Arcybractwo rozpoczęło swoją działalność. Znaćcie takie powiedzonko „Gdy kota nie ma, myszy harcują”? Każda organizacja, nawet mająca jak najlepsze chęci, niepilnowana wystarczająco dobrze, zaczyna się chwiać w moralnych podstawach. Każdy układ pozostawiony sam sobie dąży do entropii.

W zimnym hallu już czekał na mnie zatroskany brat świecki. Człowiek ten pełnił funkcję pisarza brackiego, był więc ważnym urzędnikiem tego stowarzyszenia – to on prowadził księgi, rejestry braci, sióstr, otrzymanych i rozdanych jałmużn, dochodów, rozchodów, dekretów, aktów, zwyczajów, porządków i powinności. To do niego zwracali się ubodzy w potrzebie i to on wydawał im pieniądze za zgodą Starszego i radnych i oczywiście po uprzednim sprawdzeniu stanu ubóstwa przez wizytatorów. Był też pisarzem Banku Pobożnego, więc do jego obowiązków należało również pożyczanie pieniędzy pod zastaw i zapisywanie owych pożyczek w rejestrach. Można by więc przyrównać go do dzisiejszego kasjera. Rozumiecie już do czego zmierzam. Domyślcie się, kogo najpewniej obarczano winą, jeśli zauważono jakieś braki,

Rycina przedstawiająca założyciela Arcybractwa Miłosierdzia, ks. Piotra Skargę, zamieszczona w Księżce pamiątkowej Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie od roku 1584 do 1884: skreślonej w roku jubileuszowym, Kraków 1884, oprac. przez I. Polkowskiego. BN, domena publiczna



nadużycia, nieścistości lub jakikolwiek bałagan.

To on poprosił mnie o konsultację, przysyłając dzień wcześniej jakiegoś chłystka z ustną prośbą. Sprawa wydawała się mętna i niejasna. Potrzeba zachowania dyskrecji została podkreślona przez owego chłystka wielokrotnie. Nie lubię takich zleceń, bo mocno ograniczają nasze i tak niewielkie pole manewru, ale pomocy odmówić nie wolno. Pamiętajcie o tym.

– Szczęść Boże – powitał mnie zleceniodawca i zaraz nie omieszkął przypomnieć raz jeszcze, osobiście, o konieczności zachowania dyskrecji. A dla podkreślenia wagi dodał zbołałym tonem. – Nasze pobożne stowarzyszenie, tak błogie przynoszące pożytki, od samego początku narażone było na pociski złośliwych i zazdrosnych. Niecne ludzkie języki miały oszczerstwa na naszą instytucję i czcigodnego jej założyciela. Ludzie zawsze gotowi co dobre ganić, gdy w swoich uczynkach poprawować się nie chcą. Nie bacząc wcale, że my tu jałmużnę rozdajemy, co ubogim gotowe poratowanie przynosi.

– Wyjaśni mi pan pokrótce, jak to działa? – spytałem pisarza, duży kładąc nacisk na to „pokrótce”, bo już zdążyłem się zorientować, że ciężko będzie z tym jegomościem przejść do sedna.

– Miasto mamy podzielone na części, które nawiedzają wizytatorzy, aby sprawdzić, kto godzien jest poratowania. Najsamprzód czy to szlachcic, mieszczanin, kupiec; czy białogłowa, czy mąż. Czy stara, czy młoda osoba to, czy ma męża, czy żonę, albo dziatki et cetera. Potem o nieszczęście wypytać mają, czy upadł przez ogień, czy jaką niemoc lub przez przygodę czy człowieka złego. Potem czy to człek dobry, czy nie pijanica albo bawiący się rzeczami nieprzystojnymi hul-taj. Ile złotych dla poratowania się należy, mają podać potem na brackiej schadzce, by pomoc udzielona być mogła. Pieniądze na jałmużnę składowane są w skrzynce na miejscu bezpiecznym. Klucze zaś są dwa: jeden ma starszy, drugi powierzon szafarzowi.

– Ale problem macie, o ile zrozumiałem posłańca, nie z rozdawaniem pieniędzy, tylko z fantami pod zastaw?

– Musi pan wiedzieć, że my pierwszą w królestwie komorę





spełniającą potrzebę pożyczania posiadamy – pisarz uznał widać, że będzie dobrze się nieco pochwalić, zanim przejdzie do mniej przyjemnych kwestii. – Pożyczamy pieniędzy na fanty pewne, darmo, bez lichwy, ludziom ubogim i potrzebny. Pieniądze na to zdobywają się częściowo od samych braci, a część bracia u ludzi pobożnych upraszają, a i samiż bogobojni dobrzy ludzie bez nijakiego nacisku legata na to odkazują. Ale o tem zaraz, dość samego gadania, proszę za mną, ja panu przed oczy pokażę, jak to wygląda, aby pan widział, jak działa nasza piękna instytucja.

Pisarz poprowadził mnie korytarzem i otworzył ciężkie wrota po prawej stronie. Weszliśmy do skarbcza, zwanego Salą Klejnotową. Wrażenie podróży w czasie jeszcze się nasiliło. Nawet taki stary cynik jak ja, co widział w życiu niemal wszystko, musi w takim miejscu przystanąć i rozejrzeć się z ciekawością dziecka. Kolorowe barokowe malowidła pokrywały cały sufit i ściany.

– Za decyzją ichmciów przewielebnej kapituły sprawione zostały nowe szafy w naszym sklepie zastawniczym jako *magnum necessitatem*. Weń one fanty schowane być bezpieczne miały – wyjaśnił pisarz.

Wnętrze sali klejnotowej Banku Pobożnego, w środku żelazna skrzynia na dokumenty, na niej skrzynka na pieniądze i kosztowności, fot. K. Schubert. MIK 2018

Wzdłuż ścian pomieszczenia stało szesnaście drewnianych szaf na zastawy. Każda miała drzwi z modrzewiowego drewna, zdobione polichromią przedstawiającą alegoryczne postaci. *Pax* – pokój z wieńcem oliwnym w dłoni. Ubogi *pauperas*, w obdartych szatach, z całym dobytkiem na plecach i wyciągniętą po jałmużnę dłonią. *Temperantia* jak na powściągliwość dosyć roznegliżowana, z odsłoniętą piersią.



Biuro Arcybractwa Miłosierdzia, fotografia zamieszczona w tygodniku „Świat” 1911, IV, nr 52. BN, domena publiczna



– Poznaję rękę Trycjusza – odezwałem się. Moja znajomość rzeczy zrobiła na nim należyte wrażenie.

– On to odmalował! – brat rozpogodził się na moment i wskazując kolejne malunki, wymieniał z nabożnym zachwytem. *Veritas*. Prawda. *Diligentia*. Pilność...

– *Fraus*. Podstęp – zakończyłem, sprowadzając pisarza na ziemię. – Ostatni rachunek banku spisany był w 1698 roku, a potem przez trzynaście lat nic? Tak?

– Całkowite zaniedbanie – przyznał ze skrucą i ponownie się zatroskał. – Niestety bez chuci do porządku i pilności przestrzegania i najprzedniejsza rzecz niszczeje. O tem przekonał się przy wizycie biskup i on to delegował dwóch komisarzy członków kapituły – księży – i do tego dwóch stanu świeckiego. Oni to mieli sprawę *maxime amet* zbadać i porządek wrócić. Delegaci biskupi zaczęli od wskazania pisarzy. Jam tej łaski otrzymał. Od poprzedników naszych najspieród dobyliśmy wszystkich fantów i zastawów. Wspólnieśmy spisali inwentarz z wielce szczegółowym opisaniem fantów. Dwadzieścia jeden arkuszy... – na poparcie swoich słów wyjął ze skrzynki plik papierów i zaczął je kartkować i przekładać, co chwilę wskazując palcem jakąś pozycję i odczytując fragmenty sprawozdania. – Kategorie wszelakie. Z wiadomymi i niewiadomymi właścicielami. Oto w czwartym dziale srebra i klejnoty. Co do jednego wymienione kanaki, manelle, zasusznice, trzęsidła. W skrzynie i szuflady, które pan tu widzi, włożone z alfabetycznie naznaczonymi mianami oddających. Dział osobny pierścieni, łańcuszków, guzów i guzików różnych, a takowoż numizmatów. A nie brakło i kategorii

różnych galanterij kościelnych, monstrancyj, krucyfiksów, pacyfikałów, turybularzy. Niemało bez konsygnacyji. W innym dziale koncerze, pałasze, karabele. Zastawy cynowe, miedziane w jeszcze inkszym. Nawet osobno wszystek spisany fantów sukienicznych był został. Każden spisany został żupan, a nawet księży paledron czy sutanna, nawet *brevia sub ubi* albo suknia nienadjedzona czy nadjedzona przez mole...

– Czy mnie pan tu rzeczywiście wezwwał w sprawie zjezdzonych lub niezjezdzonych pantalonów? – spytałem pisarza, bo już mi serdecznie brakło cierpliwości od tego wymieniania. Mój czas jest cenny, a ten zleceniodawca jakby nadal wcale nie miał chęci przechodzić do sedna.



– *Veniam in me*. Przepraszam. *Mea culpa*. Ale to *verecundiam*, wielki wstyd ta sprawa rzuca na naszą organizację. Chciałem panu okazać, jak sprawy zwykły być u nas dobrze opisane i pilnowane. *Fatali quadam incuria*, taka beztroska przez lat trzynaście, ani rachunków, ni elekcyji, ni schadzek. I oto wyszło, że sam poprzedni pisarz bracki summy znaczne od wykupujących swe fanty odbierał, a też summy innym wydawał za fanty, a wszystko bez widza, bez taksy, bez próby złotników. A summy te częstokroć przewyższały to, ile w rzeczy samej fant stał.

– Więc brakuje pieniędzy?

– Mało, że brakuje. Gorsza sprawa jest. Niektóre fanty zastawne zakopane zostały, lecz nie wiadomo gdzie. Raz już było podobnie, gdy nas roku pańskiego 1655 Szwedzi najechali. Rajcy chcieli oddać Szwedom fanty i pieniądze Arcybractwa za okup. Bractwo nie chciało być się zgodzić na tak wielkie *iniustitiam* i ukryło było wszystek powierzony majątek w ziemi. Pisarza brackiego wtedy aresztowano, bo uczciwy człowiek ten nie chciał wskazać miejsca ukrycia. Rada jednak wydała w końcu wszystko Szwedom, ale potem zwróciła co do grosza tym biednym, co nam swe dobra zawierzali byli. W 1702 roku znów przyszedł Szwed na nasze ziemie i znowu ukryto fanty, lecz znaleźć ich niemożliwością się zdaje, bo jak wspomniałem, przez trzynaście lat bez porządku z beztroską sprawy prowadzone były przez onych pisarzy nieco zaniedbane.

– Nie ma więc co marudzić, wołaj pan mi tu tego pożał się Boże pisorza i trzeba spytać, gdzie zakopał. Wielka mi rzecz.

– W tym cały kłopot, że mu się zmarło niedawno...

– To rzeczywiście kłopot. Ale też ciekawa okoliczność, że akurat teraz.

– Tyleż ciekawa, co niewygodna, drogi panie. Lecz żyw nadal drugi z pisarzy. On to nam wykazał o owych niesubordynacjach...

– O, nie wątpię. Więc dawać go tu na spytki, raz dwa.

I tak ów drugi, żywy nadal pisarz został wezwany do Sali Klejnotowej na przesłuchanie. Był to człowiek świecki, lecz z miną bogobojną, pokazywał mi, jak tylko mógł, swoje święte

oburzenie faktem, że go przesłuchuje osoba z zewnątrz. Widać jednak swoich praw był równie mało świadom, jak i obywateli, bo nie protestował otwarcie. Zapewne obawiając się, że ze mnie może być jakaś ważna osobistość i narobi sobie jeszcze większych problemów, jeśli zacznie się ciskać. Zaczął wyjaśnienia od bicia się w piersi i przysięgi na różne ważne dla niego osoby i świętości, że o wieloletnich zaniedbaniach nie miał pojęcia, podobnie jak o tym miejscu, gdzie drugi pisarz zakopał ruchomości na zastaw.

– W obowiązku naszym jest strzec depozytu najpilniej – powiedział w końcu ponaglany przeze mnie. – Jednakże gdyby przez gwałt jaki, ogień, złodzieja, najście gwałtowne jaka szkoda w fantach została, wolny ma być bank i my od płacenia onych fantów, jeśli przysięgli my, że nie dali przyczyny do złego ani nijakiego niedbalstwa. My to przysięgli...

– To krzywo przysięgli, bo niedbalstwo widać gołym okiem – stwierdziłem i zacząłem wpatrywać się uporczywie w tego człowieka, milcząc przy tym, gdyż milczenie, jak to mówią, jest złotem, a w tym przypadku to nawet dosłownie, bo o odzyskanie złota przecież chodziło.

– Ksiądz Burski dał Szwedom okupu 1600 florenów... – bąknął przesłuchiwany.

– Dał, ale oddał gotówką do kasy więcej nawet, bo 5336 – czytał pisarz.

Po chwili były pisarz odezwał się z lękiem.

– Nie za moim złym chowaniem szkoda się stała czcigodny panie. Ja bym w skrzynie warowne pochował fanty, jak nakazuje obowiązek, tam bym pochował, gdzie najbezpieczniej, i za spólną umową, popieczętowawszy owe skrzynie, dobrze obwarowawszy szczególnie szaty...

Człowiek wydawał się coraz bardziej zdenerwowany. A ja, dalej w milczeniu, by sobie wszystko dobrze w głowie poukładać, dla zyskania na czasie, kartkowałem owe dwadzieścia jeden stron spisanych fantów. I nareszcie zacząłem łapać, w czym rzecz.

– Dość tego kręcenia. Mów pan, gdzie fanty zakopane. Już lepiej znaleźć je zniszczone niż wcale.

Facet dosłownie oniemiał, że tak trafnie zgadłem jego

problem. Zważył sobie w głowie moje słowa i podjąwszy decyzję, zaczął wyrzucać z siebie zdania z wyraźną ulgą:

– Nie moja to wina panie! Pisarz ten drugi, co odumarał nas był, on to sprawował. Z nierozumności, a nie złej woli. Miał w skrzyni złożyć, by uchronić od złego w dobrej kondycji, on to w ziemię zakopał gołe fanty bez skrzyń i beczek, piaskiem skąpo posypawszy, jako jarzynę jaką powszednią w dole. I tak przez dziewięć lat trzymał, co wyznał mi umierając, a ja zlekniom, że na mnie wszystek winy spadnie, zamilczałem. Moja wina jeno w tym zmilczeniu.

– No i gdzie te rzeczy są teraz?

– W lochu, niżej zakopane.

Zeszliśmy więc do rozległych piwnic, gdzie winowajca poprowadził nas przez labirynt pomieszczeń i wskazał miejsce pochówku depozytu. Towarzyszyłem braciom przy wykopywaniu owych niefortunnych precjozów różnego rodzaju. Smutny był to widok. Wszystko niemiłosiernie brudne, spora część zniszczona całkiem. Suknie miejskie, płaszcze podróżne podbite futrem i sobolowe czapy zjedzone zostały przez mole z wielkim smakiem. Reszta zaś sukienniczego dobytku rozpułyła się całkowicie i dosłownie, gdyż podczas wielkich deszczów zalało piwnicę i któryś z braci natrafiwszy na piękne niegdyś sukno, które wychynęło z ziemi, brudne, pogryzione i zniszczone jak zwykła szmata, wziął je za byle jaki gałgan i uczynił z sukien kobiecych i sutann księżych doskonałą zaporę dla wody.

– Cóż – westchnął mój zleceniodawca. – Dobrze że tajemnica wyjaśniona. Braki wszelakie uzupełnimy, tak by nikt z zastawiających fanty poszkodowany nie był. Exekutorowie testamentu księdza Burskiego sami deklarowali się dopłacić 9 tysięcy florenów. Biskup Łubieński zaś ze swej szczodrobliwości, aby sprawa była czysta, obiecał dodać ile tylko będzie trzeba. Wielce dziękuję panu za pomoc. Opowiem biskupowi i komisji o pańskiej dobroci i przenikliwości.

– Ależ nie trzeba. To moja praca. A ona w znacznej mierze polega na anonimowości.

Wracając do naszego świata, rozmyślałem sobie o tych dwóch pisarzach lekkoduchach. Być może obaj byli tak samo

winni zaniedbania, lecz jeden miał tego pecha, że zmarł i bronić się nie mógł, więc drugi całą winę zwał na niego swobodnie. Lecz ten drugi również miał pecha, bo jako ten żywy, karę za niedbalstwo sam jeden musiał ponieść i wstydu się najeść. Być może pocieszał się myślą, że moralna wina spadła na nieżyjącego.

– No to jak? – odezwał się dziadek, gdy skończył opowieść.

– Na co czekacie? Dawajcie te skarby i pójdziemy do lombardu. Dostaniecie szmal i kupicie sobie słodczy, łasuchy. Tylko pamiętajcie, że oni tam bardzo patrzą, czy nie ma jakiej nieuczciwości, czy to nie są aby fanty pochodzące z kradzieży.

Spojrzeliliśmy na siebie z bratem odrobinę zlekniem.

– Wiesz co, dziadku – odpowiedziałam – nie wiem, czy to dobry pomysł z tym lombardem. Nie chcę, żeby mole zjadły nasze skarby.

– Albo myszy narobiły na złoto.

– Rozsądna decyzja – pochwalił dziadek.

– A dasz nam dwie czekolady z szafki na kluczycz?

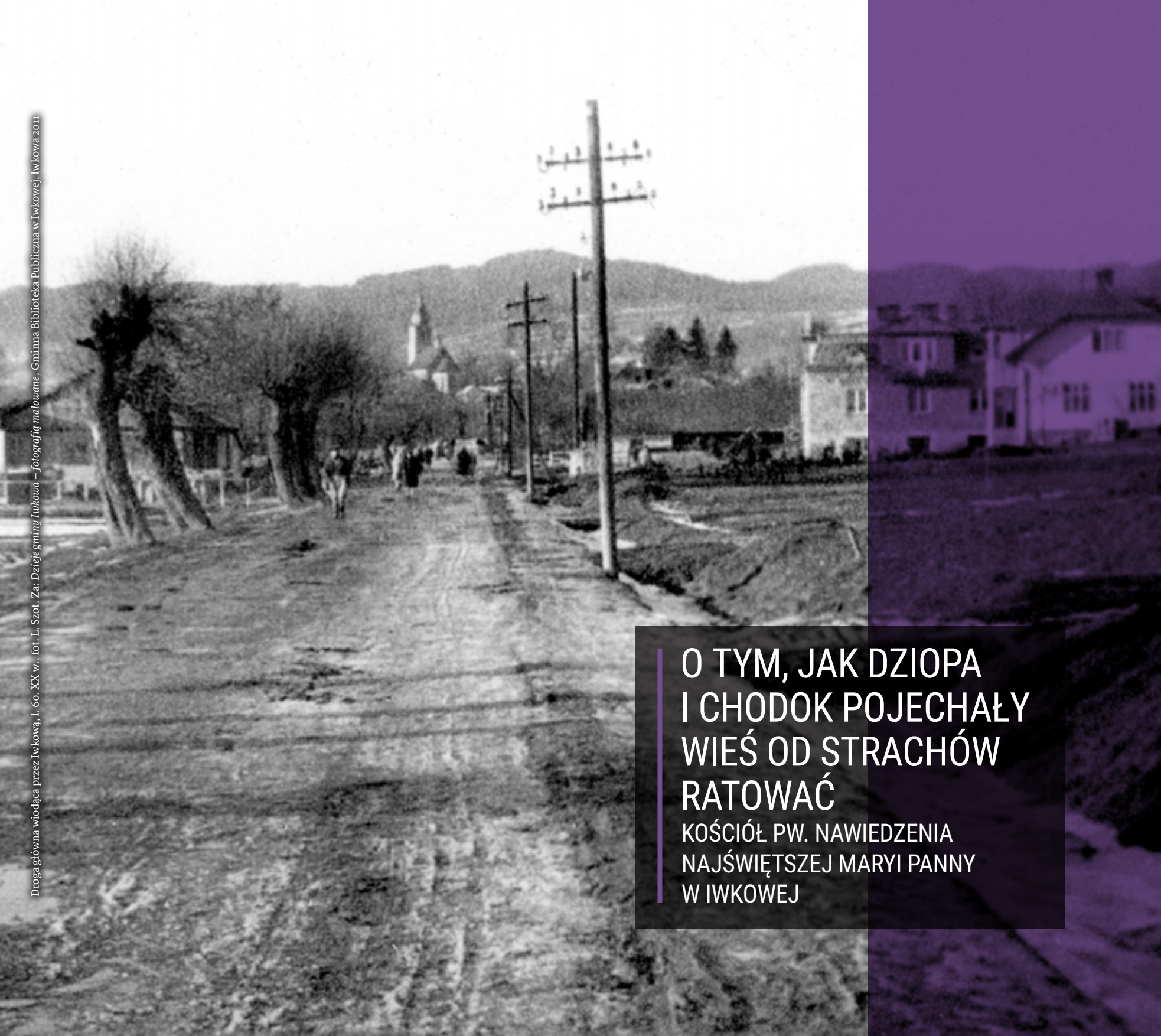
– zaryzykowałam.

– Dam wam po dwie kostki. Co wy na to? – powiedział dziadek z pobłażliwym uśmiechem.

– Dobra!

– To lepsze niż więzienie – mruknął do mnie Gabs.





O TYM, JAK DZIOPA I CHODOK POJECHAŁY WIEŚ OD STRACHÓW RATOWAĆ

KOŚCIÓŁ PW. NAWIEDZENIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
W IWKOWEJ

Okolice Święta Zmarłych to dla dziadka zawsze był czas bardzo pracowity. Już w połowie października zaczynało się dużo dziać. I niemal do końca listopada nie było dnia, żeby ktoś nie dzwonił po dziadka, nie wysyłał umyślnego z liścikiem, bilecikiem lub słowną prośbą. Dziadek miał wtedy tyle roboty, że nieraz musieliśmy mu towarzyszyć, gdy rodzice byli w pracy. Ile my się wtedy naoglądaliśmy dziwnych rzeczy! Więcej niż potem przez cały rok. A ile mieliśmy nowych historii do opowiadania koleżankom i kolegom. Z czasem przestali nam wierzyć, ale to nic. Tak musiało być. Taka kolej rzeczy. My też przestaliśmy wierzyć, a zaczęliśmy widzieć i wiedzieć.

Nasz wkład w sprawy stawał się coraz większy, a dziadek zaczął nas nazywać swoimi pomagierami. Nie bardzo odpowiadał nam ten tytuł, więc Gabs usiłował namówić dziadka, żeby przynajmniej nazywał nas sidekickami, z angielska. Ale na to dziadek jedynie parsknął.

– Nie rozśmieszaj mnie, Gabrielu. Zamiast gadać bzdury, odnieś lepiej te czaszki do grobu, a ty młoda pozamiataj ziemię.

Wytrzymaj krew, wypoleruj okrągły stół, zasłoń lustro całunem, nasuń nagrobną płytę, zagnaj bezgłowego konia do stajni. I tak dalej, i tak dalej. Nie traciliśmy jednak nadziei, że pewnego dnia awansujemy w oczach dziadka i przydzieli nam jakieś ciekawsze zlecenie. Ale lata mijały, a my dalej pilnowaliśmy grobowców po pogrzebach i gasiliśmy światła na bagnach. Była to robota, którą bez trudu mógłby wykonać każdy. A dziadek, taki stary i taki niby mądry, jakoś nie zorientował się, do czego takie traktowanie może doprowadzić. W końcu doszliśmy do wniosku, że skoro nie doczekamy się awansu z jego strony, sami musimy się oddelegować do bardziej prestiżowego zadania.

Okazja nadarzyła się właśnie przed Świętem Zmarłych. W tym miejscu należałoby wspomnieć, że Gabs urodził się tuż przed północą pierwszego listopada, a ja tuż po północy, drugiego. To, że nasze urodziny przypadły akurat na uroczystość Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny, miało oczywiście wpływ na to, kim byliśmy, ale w tej historii większe

znaczenie ma fakt, że mieliśmy właśnie skończyć siedemnaście lat i na tę okoliczność rodzice kupili nam starego bordowego golfa dwójkę. Ukryli go w garażu, żeby czekał na nasze święto, ale oczywiście od dawna wiedzieliśmy o tym prezencie. Tydzień wcześniej zdaliśmy prawko. Łapska nieźle nas już świerbiły, aby zacisnąć je na kierownicy i pojechać w siną dal, albo przynajmniej przejechać się naszą ulicą tam i z powrotem.

Rodzice w tamtym czasie nie zostawiali nas już z dziadkiem, gdy wyjeżdżali, ale jako że mieszkał w tym samym domu, w lokalu piętro wyżej, i tak spędzaliśmy z nim sporo czasu. Tego ranka, gdy wszystko się zaczęło, Gabs usłyszał, jak zamykają się drzwi na górze, a dziadek przekręca klucz. Znaczyło to, że wybiera się gdzieś na dłużej. Minął jednak nasze drzwi i wyszedł z domu. Popatrzyliśmy na siebie bez słowa i wybiegliśmy za nim. Był już przy ogrodowej furtce, gdy go dopadliśmy.

– Gdzie idziesz? – Spytałam.

– Mam sprawę – odparł dziadek szorstko.

– Jaką?

– Gdzie?

– Pójdziemy z tobą.

– Nie tym razem – przerwał ostrym tonem. – Nie wasz interes. Zajmijcie się własnymi sprawami wreszcie. Nie jesteście już dzidziusiami.

Obraziwszy nas w ten sposób dotkliwie, po prostu sobie poszedł, zostawiając nas z rozdziawionymi z oburzenia paszczami.

– Szczyty! – Skwitowałam.

– Zwykle chamstwo – dodał Gabs.

Wróciliśmy do domu jak niepyszni i żeby odreagować złość, postanowiliśmy rozegrać kilka rundek *Mortal Kombat*. Koło południa, gdy już pozabijaliśmy się nawzajem wielokrotnie, idąc łeb w łeb, i gra zaczęła nam się nudzić, rozległo się nieśmiałe pukanie.

– Twoja kolej – rzuciłam do brata.

Niezadowolony podniósł się z kanapy i poszedł zobaczyć, kto tam zawraca głowę, a ja włączyłam MTV. Pamiętam,

że leciał akurat *Thriller* Michaela Jacksona. Truposzczaki wstawały z grobów wyczyniać dzikie harce. Nie wydało mi się to jednak wtedy znaczące. Nagle dotarło do mnie, że Gabs mnie woła.

Niechętnie poszłam sprawdzić, o co chodzi. W przedpojoju stał dziwaczny człowieczyna, bardzo rozczochrany i z wielkim wąsem. Ubrany był w sukmanę i słomiane buty. W czerwonych spracowanych łapach miętolił wystrzępiony kapelusz.

– Pochwalony – rzekł chłop, kłaniając się.

– Pan mówi, że jest kościelnym z Iwkowy... – wymamrotał Gabs.

– No – przytaknął facet.

– I szuka naszego dziadka – dodał mój brat.

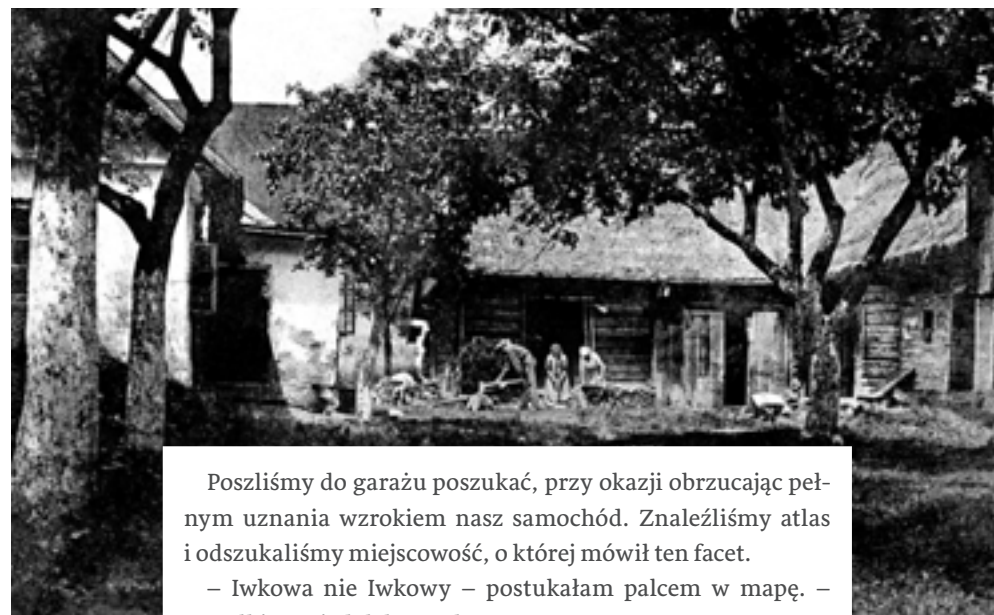
– Nie jo, ino nasz jegomość pleban Kobyliński z Iwkowy prosiły pana dobrodzieja o wspórkę. Gnałem cięgiem co koń wyskoczy, bo wielgie mamy nieszczęście we wsi. Gadzinę puściłem wedle państwa obejścia, coby się nażarło, nim pojadyemy nazad.

– Dziadka nie ma – odparłam. – Jest na robocie.

Chłopisko odeszło nieszczęśliwe, załamując dłonie. Obserwowaliśmy przez okno, jak zaprzęga konia do wozu i odjeżdża spod naszego domu. Wróciliśmy przed telewizor. Włączyliśmy znowu PlayStation, żeby jeszcze trochę poobijać sobie gęby. Jakoś nam to już nie szło, więc zaczęliśmy przerzucać kanały. Wszędzie trąbiono o zbliżającym się Świącie Zmarłych, cenach zniczy, chryzantem i trupiego miodku.

– Gdzie jest Iwkowy? – Spytał Gabs.

– Nie wiem. Możemy sprawdzić w atlasie samochodowym.



Poszliśmy do garażu poszukać, przy okazji obrzucając pełnym uznania wzrokiem nasz samochód. Znaleźliśmy atlas i odszukaliśmy miejscowość, o której mówił ten facet.

– Iwkowa nie Iwkowy – postukałam palcem w mapę. – To całkiem niedaleko Krakowa.

– Czy dziadek nie powiedział, żebyśmy zajęli się nareszcie własnymi sprawami? – Zarechotał Gabs.

– Transport mamy – dodałam uradowana, że wszystko się tak doskonale składa.

Przygotowaliśmy się do wyprawy, pożyczając z biblioteki wszystkie pozycje na temat Iwkowej, jakie udało się nam znaleźć. Spakowaliśmy prowiant i ubraliśmy się ciepło. Potem rzuciliśmy monetą i Gabs wygrał, miał poprowadzić tam, a ja z powrotem.

– No to ruszaj co koń wyskoczy – mruknęłam z przekąsem, bo trochę byłam zła, że to on prowadzi jako pierwszy, zwłaszcza że ewidentnie nie czuł się pewnie za kierownicą. Postanowiłam jednak ograniczyć krytykę do minimum, a skupić się na informacjach na temat miejsca, do którego jechaliśmy. – Wiesz, że pierwsze zapiski na temat tej wsi sięgają 1325 roku? Prowadzisz jak cieć. Tam zamieszkują do dziś, wyobraź sobie, prastare rody chłopskie, które mają po kilkaset lat. Czaisz? Więcej niż niejedna arystokratyczna rodzina. Zmień pas, ciotku.

↑ Przygotowanie drewna na opał, Iwkowa, l. 20. XX w. Za: *Dzieje gminy Iwkowa*

← Krowy w jarzmach ciągnące wóz – codzienny widok na wsi jeszcze w latach 60. XX w. Za: *Dzieje gminy Iwkowa*



- Nos w książkę – warknął Gabs.
- Wylądujemy w rowie, ale co tam. Luzik. Jakie było nazwisko tego plebana, który wzywał dziadka?
- Kobylński – odparł Gabs bez zastanowienia. – Podobno ślachcic, ale swój chłop.
- Powiedziałaś „ślachcic”?
- Szlachcic.
- Powiedziałaś „ślachcic” – zaśmiałam się. (O gdyby był z nami wtedy dziadek, już by pewnie wiedział, w czym rzecz). Tymczasem ja wyjaśniłam Gabsowi. – Był taki pleban Kobylński, ale dawno temu. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- Jesteśmy na dobrej drodze.
- No chyba. Przecież jadę jaczwórką.
- Jaczwórką? Ciekawe, co nas tam spotka – zastanawiałam się na głos, kartkując *Iwkowskie gawędy*. – Jak cokolwiek z tego tu, to będzie grubo, oj grubo, bracie.

Nie musieliśmy długo czekać, żeby zaczęło się dziać. Dzień zrobił się nagle pochmurny i szybko przyszedł wieczór. Z każdym kilometrem zmrok się pogłębiał, wkrótce nastały zupełne ciemności. Skończyła się też aczwórka. Była to dla nas pierwsza wskazówka, że zostawiliśmy współczesne czasy za sobą. Znaleźliśmy się na trakcie dawniej łączącym Polskę z Węgrami. Brat włączył długie, by cokolwiek widzieć po ćmaku. Kręta droga wiła się w górę. Niekiedy majaczyło jakieś dalekie światelko, jedyny znak, że nie jesteśmy sami na tym pustkowiu. Wkrótce znaleźliśmy się w lesie, a czerń dokoła nas zageściła się jeszcze bardziej. Wlepialiśmy oczy w tę ciemność, by nie zboczyć z traktu. Liczyliśmy, że kiedy wyjedziemy z tego lasu, będziemy u celu. Tak się jednak nie stało. Wciąż toczyliśmy się drogą w ciemnościach rozjaśnionych ledwo co kilkoma gwiazdami na zachmurzonym jesiennym niebie.

W końcu zobaczyliśmy nagle światła zabudowań. Wjechaliśmy do cichej wsi. Mijaliśmy kolejne domostwa, ale nie napotkaliśmy ani jednej żywej czy martwej duszy.

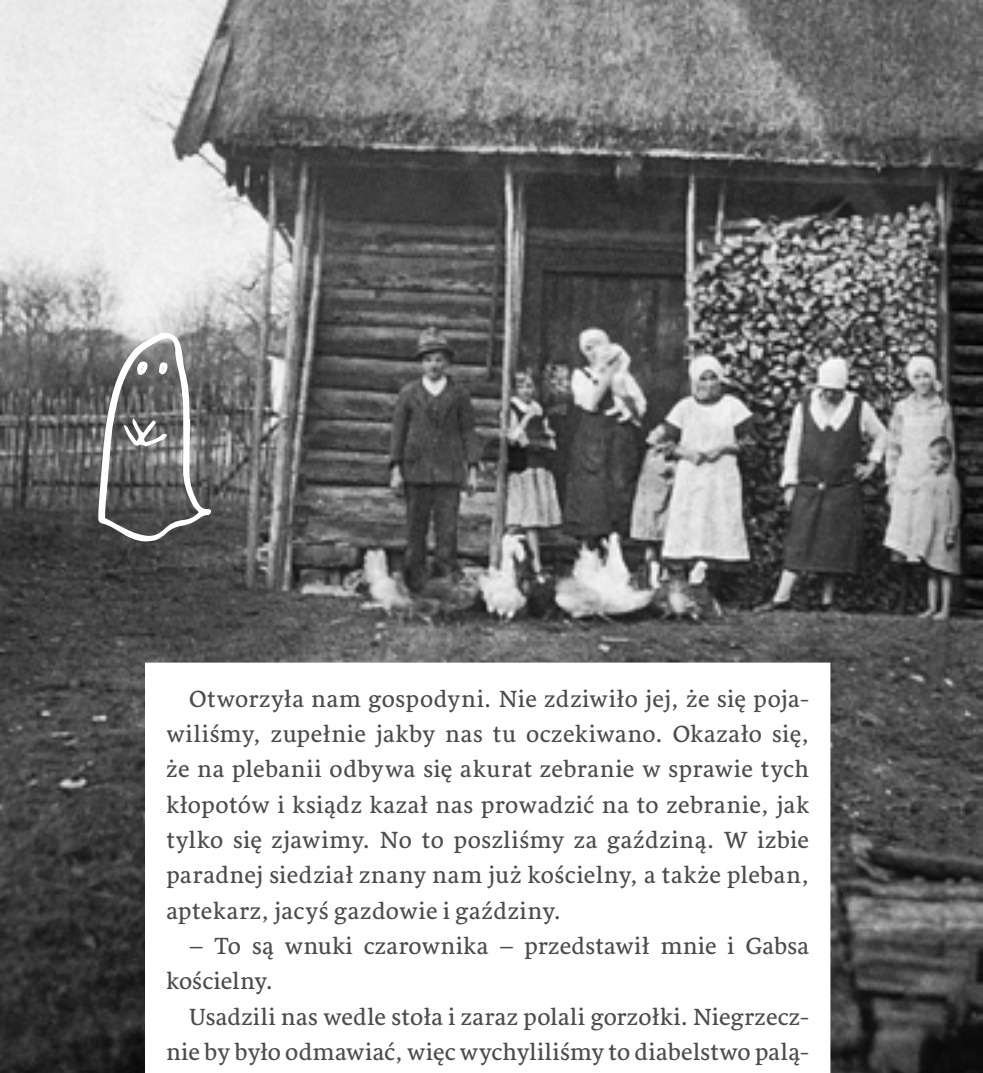
- Może to był kawał – odezwał się Gabs, a w jego głosie pobrzmiwała nadzieja, którą zaczęłam dzielić. Nie chodziło o strach. Strach był naszym dobrym znajomkiem od wczesnego dzieciństwa. Nie umiem dobrze wytłumaczyć, na czym to polega, jak to jest znać dobrze strach, umieć go rozpoznać i namierzyć, czuć go nawet w pewnym sensie, a równocześnie go nie czuć.

Nasz niepokój nie dotyczył tego miejsca, wyjętego z opowieści grozy i ewentualnych upiorów, na jakie zaraz mogliśmy natrafić, tylko tego, że gdy się już tu znaleźliśmy, dotarło do nas, że kompletnie nie mamy pojęcia, co dalej robić. Działalność, którą parał się dziadek, nie była ujęta w żadne reguły, nie istniały zasady postępowania w takiej czy innej sytuacji. Nie było podręcznika, do którego można by zajrzeć i się wyuczyć metod, ani specjalnych czarodziejskich szkół, do których można by posłać takie jak my grackie dziecka.

- Dawaj na plebanię. Zdybiemy tego kościelnego – zadecydowałam, a Gabs usłuchał.



Cmentarny kościół pw. Nawiedzenia NMP w Iwkowej z XVI w., fot. l. 40. XX w., S. Pajor. Za: *Dzieje gminy Iwkowa*



Otworzyła nam gospodyni. Nie zdziwiło jej, że się pojawiliśmy, zupełnie jakby nas tu oczekiwano. Okazało się, że na plebanii odbywa się akurat zebranie w sprawie tych kłopotów i ksiądz kazał nas prowadzić na to zebranie, jak tylko się zjawimy. No to poszliśmy za gaździną. W izbie paradnej siedział znany nam już kościelny, a także pleban, aptekarz, jacyś gazdowie i gaździny.

– To są wnuki czarownika – przedstawił mnie i Gabsa kościelny.

Usadzili nas wedle stoła i zaraz polali gorzołki. Niegrzecznie by było odmawiać, więc wychyliliśmy to diabelstwo palące gardziele okrutnie.

– Dałabym wam jeszcze mlyka, ale kot wychlipał z kamieniczka – zagadała gaździna. – A ukreść wam pojdo chleba?

– A prosimy ukreść – uradował się Gabs. – Byle wielgie.

Zaśmiali się wraz, że chodok taki łakomy.

– To wam jeszcze masłom posmaruj, błoście głodne. Poracie się chodocku.

Jak my się najadły, to nam jeszcze polano tej gorzołki, wszystkie ludzie piły, a także jegomość sobie nie odmawiał. Gdy my się popijali, to on goda tak.

– Prosilimy pana dziadka, wskróś wielgie momy tu stropienie. Namaniło się do wsi tyle strachów, że całymi kompaniami straszą, galas wyczyniając. W gąbiorze w krzokach

furt gwałt od dwóch niedziel. Pewnikiem mamony dziecka chcą zabierać. To zaś gdowa po takim jednym gaździe z grobu se wstała jak z wyrka, uciorana bardzo i w niebogłosy płakała po smentorzu. Cosik się tłucze po chałupach na górze we ćmaku, jak gacek, ino że myrczy ciągiem i cosik się harnasi – tu pleban wskazał palcem górę, gdzie pewnikiem był strych. A w ten czas ukazała się znowu gaździna, niosąc jakieś spiżaki dymiące.

– Naści tu jesse habaniny kawołek z kluskami – odezwała się, stawiając przed nami miskę z jedzeniem.

– Dejcje już pokój babo z tym karmieniem, bo napasione jak wieprzki i ich teroz drzymka weźmie – przygodywoł japekarkarz. – Ino czas mitrężymy.

– A nie ciurczcie – ozeźliła się gospodyni. – Niech się chodok łosąko.

Gabs w rzeczy samej nie był jeszcze debrze łozarty, bo rzucił się na nowe jedzenie, którym zaczął napychać sobie japę, bez wstydu jakiegokolwiek.

– A na Wypychowie ludzie godojom, że się djobły zakociły – zatrajkotała gospodyni.

– A idź babo, jakie djobły, jak to Margośka i ta druga robią swary i jazgot – burczał kościelny i zaraz chciał się pochwalić, żeby my se nie myślały źle o nich: – My tu się znamy na czytaku, ale co po czytaku, jak nikaj nie ma porady, co czynić. Państwo uczone, to może się rada znajdzie jaka.

– My grajcarów końduś pozbierali haw po chałupach – dodał pleban.

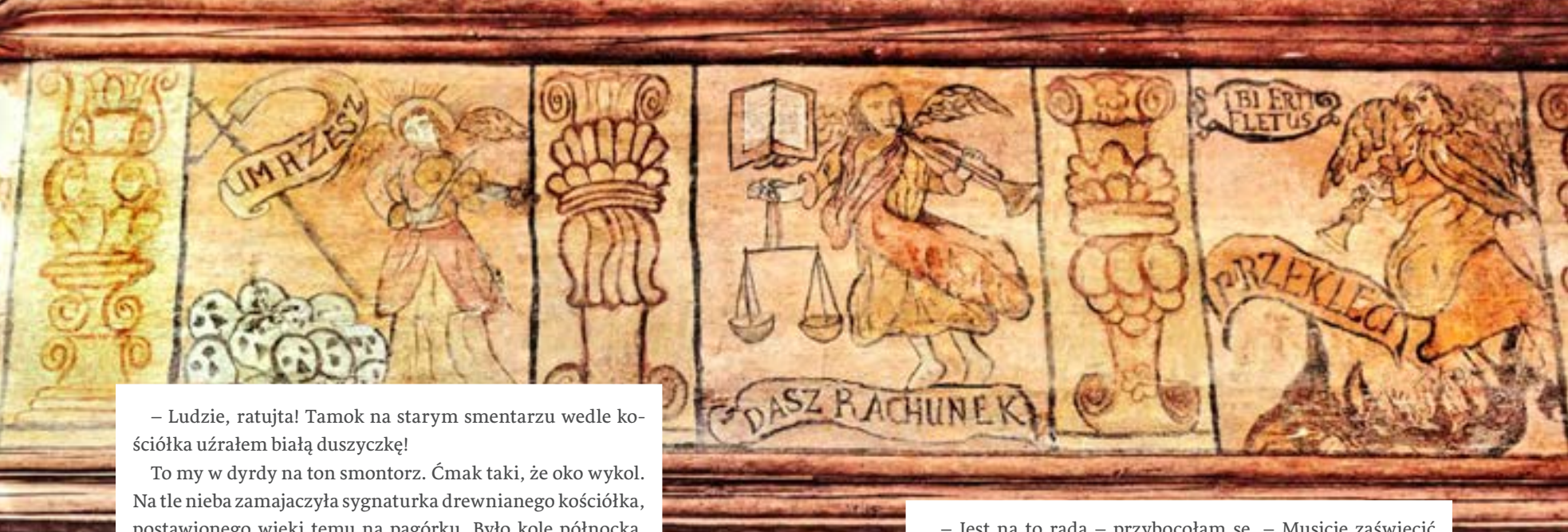
Na to zamachały my gwałtownie grabiami.

– Nie, nie! Nam pieniędzy nie wolno brać – gada Gabs z pełną gębą, mało się nie zakrztusi. – Żarcie, napitek to jedno, ale grajcarów w żadnym razie.

– Jeśli wyznaczony, to wysłakujemy, co się haw harnasi i poratujemy darmo.

– A to i lepiej – nie krył radości jegomość. – Udaliście mi się! To jeszcze po jednym na drogę i pójdziemy bez wieść, to będziecie mogli użreć naskie stropienie...

Jaż tu nagle gwałt wedle chałupy, rozwarły się dźwierzce i do izby wpada jakiś gazda cały ściorany błotom.



– Ludzie, ratujta! Tamok na starym smentarzu wedle kościółka uźrałem białą duszyczkę!

To my w dyrdy na ton smontorz. Ćmak taki, że oko wykol. Na tle nieba zamajaczyła sygnaturka drewnianego kościółka, postawionego wieki temu na pagórku. Było kole północkska, a tu w oknach jakiesik świećka. Podleźliśmy bliżej, obzierać bez okienko do środka, a tamok cały kościółek wymalewany piyknie, ale nas co inszego poruszyło bardzok: w kościelnych ławach zasiadły se te wszystkie duszyczki, co pochowane na smentarzu. Na łontorzach świyce, na jambonie pleban, co dawno pomarły karentuje te duchy aż dudni.

– Co radzicie? – Pyta kościelny.

– Nic – gadam pewnym głosem. – Ostawcie, one se tu posiedzą, odklepią pacierze, a po zaduszkach wnet pójda.

Nasza rada bardzo się spodobała, więc poprowadzili nas dalej. Ale dalej już nie szło tak gładko. Możemy się rozochoćili nadto tym pierwszym sukcesem. Ja żem ino płoziyrała de książki, bo tam rada na kłozdy problem się znalazła. Gabs wzioł drugą książkę i co czytak, to się mądrzy.

– Krzyzewe włody nabrać o północkska i wymyć krowom wymiona i krowy ozdrowieją!

I w dyrdy po wodę ku rzece Beli, gdzie się krzyżuje z inną. A potem dalej wieś ratować. Jeden gazda znowu godoł, że Lucycpera widzioł, jak ten wedle drogi od Krakowa jechoł żelaznym wozem bez konia i dyszla. Na przedzie mioł dwa wielgie ślepia, a dookoła fukało i dymiło.

– Wnetki będzie koniec świata! – Wrzasnęły baby. – W księdze stoi, że przed końcem świata Lucyper będzie jeździł takim wozem.

– Jest na to rada – przybocołam se. – Musicie zaświecić gromnicę i postawić w oknie, a obok święty obrazek.

– A jak on nadjedzie nie od Krakowa ino od Sącza?

– To postawcie w obu oknach dla spokoju. A dziećka niech zmawiają pacierze.

No to baby poszły pucować obrazy, a chłopcy szukać gromnic i zopołków. Postawiły ludzie podług rady we wszystkich oknach i gromnice, i obrazki, bąki pacierze pomówiły. No i nic. Cisza.

– Widzicie! – Pado Gabs. – Przejechał Lucyper spokojnie. Co jeszcze?

– U mnie na Jaskowskim straszy – rozdarła się jedna taka baba, Hanka Władkowa. – Może to ten Igor, co go Austriaki abo Niemcy zabiły.

– Na to trzeba pokrajać ziemię i nasuć w całej izbie, to wszystko ustanie – uradziły my tak wespół z bratem.

No i tak porznęły chłopcy całe klepisko pługiem i chciały iść, ale Władkowa w lament, że starego nie ma, a ona sama doma nie ostanie.

– Niech chłopcy, co majo nojwiocy łodwogi, z Hanką plosiedzo de rana – godom.

No to my jeszcze wszystkie wypiły gorzołki dla kuraśności i trzy chłopcy tamok zostały, nasypały se słomy na klepisku, zaświeciły lampę i zaczęły kurzyć fajki. A my z resztą kompanii ruszyli dalej, obrychtować co trzeba.



– Dziecka niekrzczone można zostawić samopas, jak się kolebkę pasem od portek obwiąże, bo mamony bardzok się boją chłopów, jak pasek użrą, to dziecka nie wezmą – poradziłam gaździnom, jak w książce stało.

– Dobrze godo dziopa, polać jej wódki – ucieszyły się chłopcy.

Wnet pootwierano karczmę, bo wielga radość się we wsi zrobiła. Nikt już się strachami tak nie frasował, tylko wielgie święto było. Nie żałowano kapanki, krążyły graniówki. Muzykancia grały. Jaże popijbraty tupały z uciechy nogami, rajcując jeden przed drugiego. Nawet pleban jegomość z babami i dziopami tak wywijał, aż furcało.

Wszystko jednak poszło źle. Co było potem zabaczyłam zupełnie, bo my się pospały z tego pijaństwa. Przybocyłam se, dopiero, jak godom do naskiego dziadka z telefonu na korbkę, by go prędko przyprawić do wsi:

– Wszodzie zgryz! Zakociły się strachy w Iwkowy! – Wydzieram się w tubę.

– Słucham? – Cudował się dziadek, bo nie umiał zmarkować, co pedziołam.

↑ Widok na prezbiterium kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Iwkowej. Kościół spłonął podczas konserwacji w 1952 r., 1905-1915. Ze zbiorów MNK, MNK XX-f-4840

→ Na pastwisku, Iwkowa, l. 40. XX w. Za: *Dzieje gminy Iwkowa*

– Nie, nie głądźcie furt, ino w dyrdy dawajcie tu, a sami użrycie! Samopas nie wydolomy. Do wciórności! Władek się śtepurcy, bo zdybał, że mu chłopcy rozkopuły izbę. A chałupa cało uciorano ziemią. Dziacka płaczą po kołyskach, łopgion zajął pół wsi. Chop na kłoniu bez głowy galopuje po polach, Lucyper dziopy wedle drogi żelaznym wozem wozi – tak mu tyrkłotom, a wkiej wokół wszystko, co godom, się wyprawia.

I tak to dziadek musiał płosprzątać pło nos. A jak? Tego nie użreliśmy, bośmy kawęceli pło gorzołce i nogle usnoliśmy na wozie. Ocknęliśmy się na wielgiej drodze na Kraków. Milczeliśmy z ty hońby, ale też nas kac furt męczył dojęty. A dziadek wnetki zacoł się łoserewać.

– Czy wyście całkiem pogłupieli, żeby w przełom wieków samochodem wjeżdżać? A do tego ty smarkaczu musiałeś jeszcze dziewuchy, co nigdy samochodu nie widziały, po pijaku wozić! Wasza ingerencja sama w sobie była powyżej waszych kompetencji, a wy jeszcze nadużyliście mocy bardzo poważnie. Narobiliście bałaganu, nakładliście ludziom do głów idiotyzmów, nastraszyliście...

– Oj już nie żłońdzicie tak – zamyrczał Gabs. – Cniulo nam się de chołpy.

Na to pan dziadek zafurcał tylko i tak pado:

– O wy fafuły despetniki! Nie dość, że nic nie pomogliście, tylko zaszkodziliście, to jeszcze daliście się tym cudom sami owładnąć. Teraz przez jakiś czas będziecie tak gadać, a jak zmądrzejecie, to wam przejdzie.

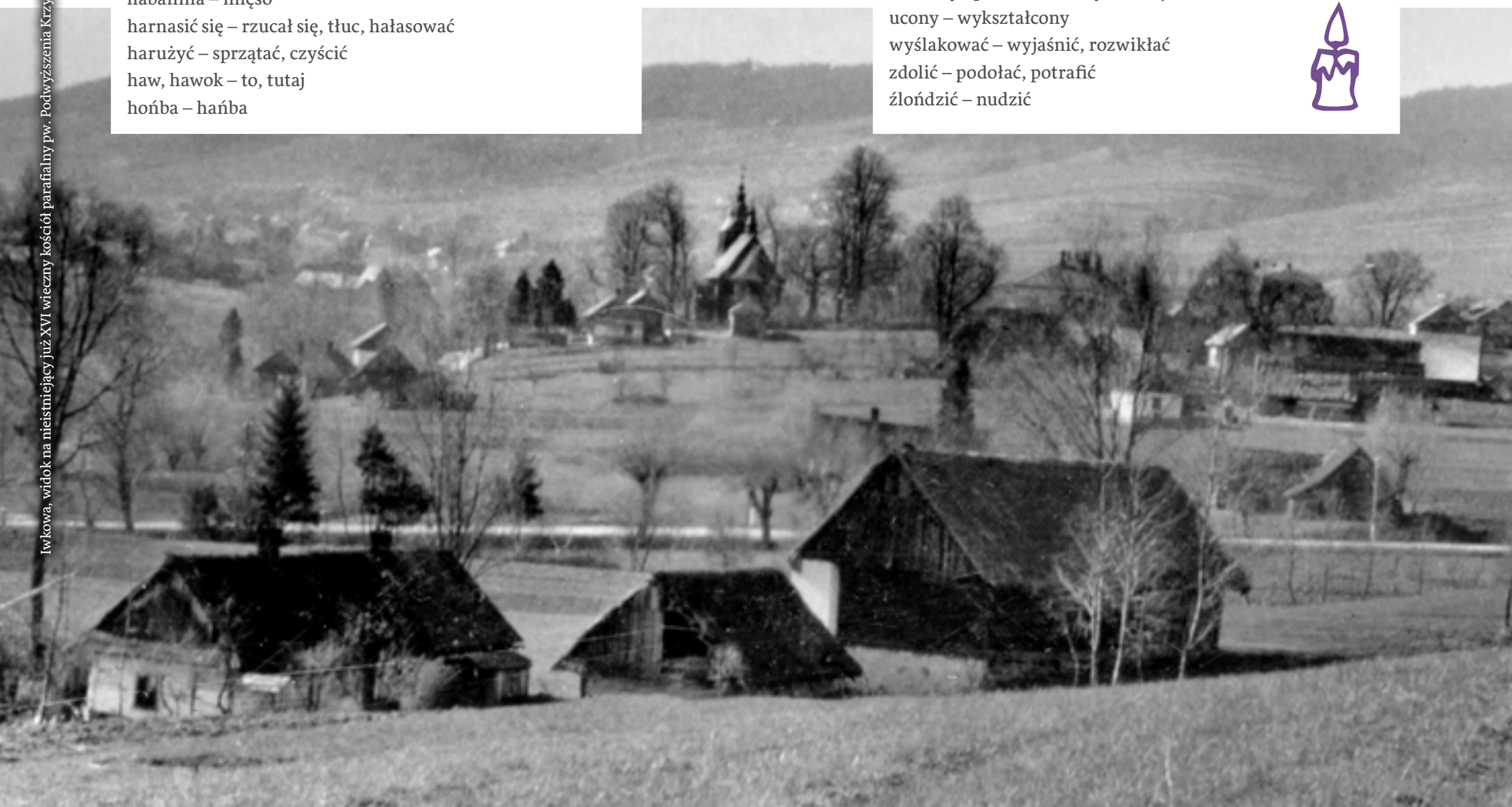
Jak pedzioł, tak było. Tak to właśnie dziopa z chodokiem wieś ratowali, że od tego ratowania sami zachłorewali.

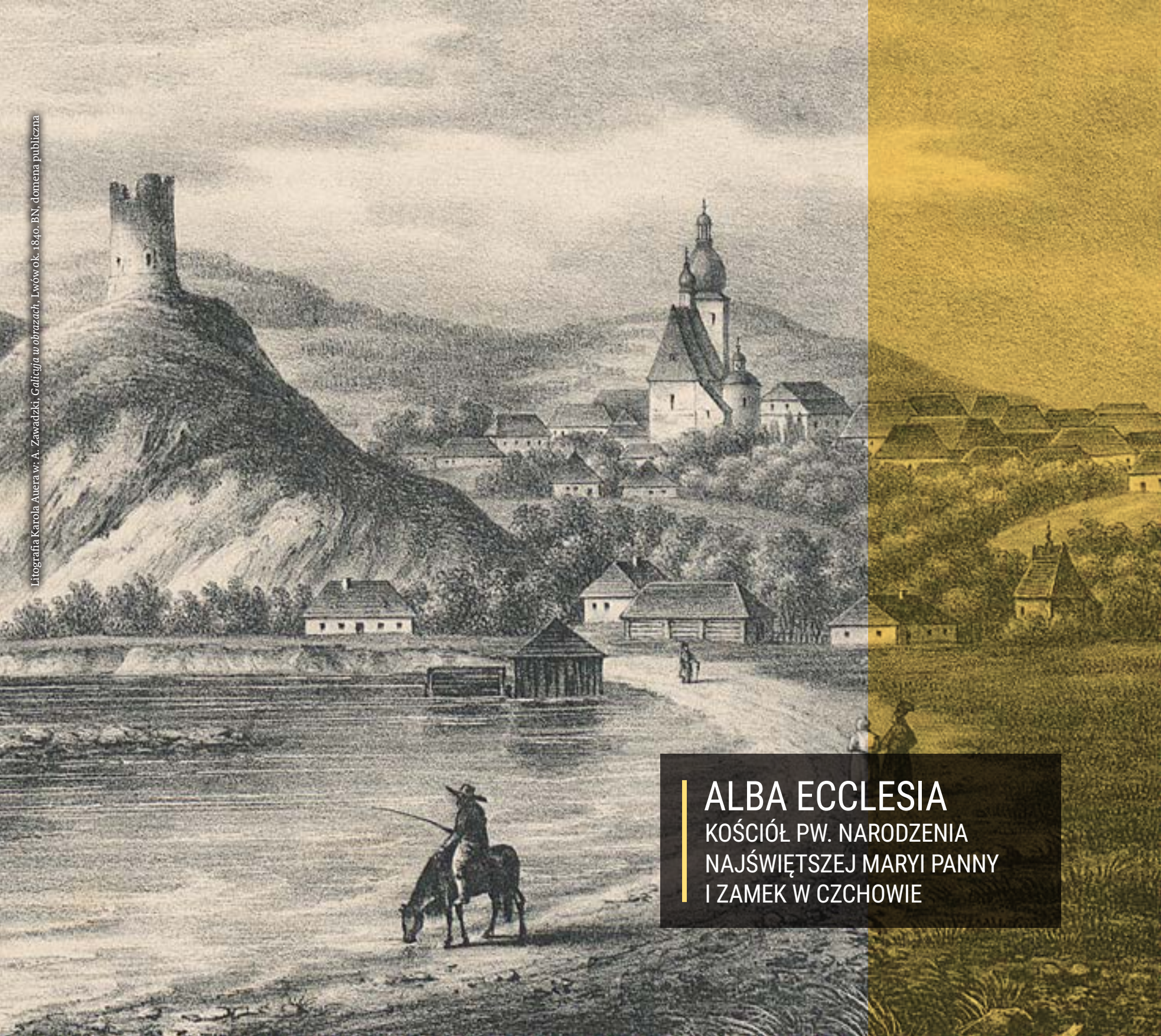


SŁOWNIK GWARY IWKOWSKIEJ

chodok – chłopak
 ciamotać – mówić prędko i przez dłuższy czas
 ciurceć – zrządzić
 cudować – dziwić się
 czytak – książka
 despetnik – psotnik
 dziopa – dziewczyna,
 furt – wciąż
 galas – zamieszanie
 gąbiór – staw
 grackie – dzielne
 graniówka, graniatówka – kanciasta butelka na wódkę
 habanina – mięso
 harnasić się – rzucał się, tłuc, hałasować
 harużyć – sprzątać, czyścić
 haw, hawok – to, tutaj
 hońba – hańba

kawęceć – chorować
 końduś – trochę, kawałek
 łoserewać się – złościć się
 mamona, mamuna – poczwara, zjawia kradnąca dzieci
 mitrężyć – tracić czas
 naskie – nasze
 nasuć – nasypać
 obrychtować – naprawić
 potucha – odwaga
 przybaczyć se – przypomnieć sobie
 przygadywoć – upominać
 przyprowadzić – przyprowadzić, przywieść
 spiżak – rodzaj garnka
 stropienie – kłopoty
 terać się – ponieważ się, niszczyć zdrowie
 ucony – wykształcony
 wyslakować – wyjaśnić, rozwikłać
 zdolić – podołać, potrafić
 żłońdzić – nudzić





ALBA ECCLESIA
KOŚCIÓŁ PW. NARODZENIA
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
I ZAMEK W CZCHOWIE

*Tatarzy w Czchowie, Tatarzy w Czchowie
Jak było naprawdę, nikt się nie dowie
Nie pamiętają prapradziadowie
Jak od strzał ginęli na zamku mężowie*

*Ogniowe strzały
Lecą prosto w gały
Zamek podpalili
Ludzi ograbili
Położyli mężów trupem
Pojechali dalej z łupem*

*Tatarzy w Czchowie, Tatarzy w Czchowie
Wszystko widziałam, nic wam nie powiem*



Wymyśliliśmy z Gabsem taką piosenkę, która wkrótce potem stała się przyczynkiem do rozpętania jednej z największych awantur, jakich świadkiem był nasz dom.

Chyba pamiętacie jeszcze, jak to jest z zabawami? One również podlegają modom. Kiedyś na przykład przez dwa miesiące bawiliśmy się w polowanie na wampiry (za wampiry robili rodzice, w końcu nieczęsto widywaliśmy ich za dnia, więc wyobrażaliśmy sobie, że gdy ich nie ma, to śpią smacznie w trumnach). Potem popularna zrobiła się zabawa w biedne dzieci, które pracują u złych ludzi (znowu w tych rolach występowali starzy, a my zabawą umilaliśmy sobie ten nudny czas, gdy ci okrutnicy kazali nam na przykład posprzątać pokój albo umyć gary). Na wiele z tych zabaw wpływ miały filmy, telewizja oraz nieodpowiednie dla nas książki – kryminały i horrory podkradane z sypialni rodziców. Najpoważniejszy wpływ miał jednak oczywiście dziadek. Dlatego w prawie każdym scenariuszu, który wymyślaliśmy, występowały duchy i potwory, ale byli też mordercy, złodzieje, oszuści, porywacze, podpalacze, topielcy, rycerze odrąbujący głowy jednym ciosem miecza lub topora, chłopci z kosami, ranni powstańcy dogorywający w ukryciu pod podłogą w piwnicach ubogiego szlacheckiego domu, moskale z pochodniami, podpalający wsie i dwory, chciwi tchórzliwi zdrajcy i pięknie konający bohaterowie.

Dzięki dziadkowi pojawili się też Tatarzy. Może gdyby to była po prostu zabawa w Tatarów, nie byłoby problemu. Przecież dziesięcioletnie dziecko (zwłaszcza mieszkające w Krakowie, mieście Lajkonika) powinno już chyba mieć jakąś wiedzę na temat tatarskich najazdów i mieć prawo do zabawy w „szturm na zamek”. Sprawa trafiła jednak na rodzinną wokandę ze względu na jej specyfikę, a rodzice zdobyli przeciwko nam niezbitę dowody.

Mieliśmy bowiem zeszytik, w którym spisywaliśmy nasze zabawy. Każda miała tytuł, a pod spodem znajdował się szczątkowy scenariusz, zasady, postaci oraz lista sprzętów potrzebnych, aby zabawa była przednia. A niekiedy, tak jak w przypadku Tatarów, pojawiała się jeszcze piosenka albo

wierszyk. Nazywaliśmy to hymnem zabawy. Dobrze pilnowaliśmy naszego tajnego dokumentu, mając jakieś dziwne przeświadczenie, że jego zawartość może się mamie i tacie nie spodobać. Niestety pomimo zastosowanych przez nas środków ostrożności, notatnik dostał się w niepowołane mamine ręce podczas wiosennych porządków, wraz z nielegalnie przetrzymywanym arsenałem noży, zaostrzonych kołków na wampiry, ukradzionych z szafki na kluczyk słodczy, wojennych łupów w postaci biżuterii mamy i futrzanej czapy przerobionej na tatarskie nakrycie głowy. Co ciekawe, nawet butelka benzyny i dziesięciopak zapalek, saperka, sznur, taśma izolacyjna i siekierka nie zdenerwowały ich tak bardzo jak nasz wierszyk o Tatarach w Czchowie. Wzięci w krzyżowy ogień pytań, czuliśmy się jak ofiary świętej inkwizycji poddawane najgorszym torturom. Może kiedy indziej udałoby nam się zrobić z tego wyborną zabawę, lecz tym razem gniew rodziców był zbyt poważny. Strasznie serio to wszystko postraktowali. Próbowaliśmy kręcić, ale nas przejrżeli. Gabs zламаł się pierwszy.

– Dziadek nas zabrał w lecie do Czchowa – rozbeczał się głupi smarkacz.

– Ale to nie on pokazał nam Tatarów – zawołałam ze łzami w oczach. – Sami ich zobaczyliśmy. To nie wina dziadka. Kazał nam czekać w wykopie i szukać skorup. I znaleźliśmy nawet tatarski grot. I chcieliśmy pokazać archeologom. Ale nagle zaczął padać śnieg. I wtedy pojawili się Tatarzy.

– To niemożliwe – matka wyglądała na przerażoną.

– Naprawdę!

– Zaczynaj mówić od początku. Po kolei. Niczego nie pomijaj. Jak zobaczę, że kłamiesz, to nigdy więcej was z dziadkiem nie zostawię. Nigdy. Rozumiesz? No to opowiadaj.

Oboje z Gabsem mieliśmy fenomenalną pamięć (która później okazała się naszym darem, ale i przekleństwem. Gdy byliśmy młodzi, ta zdolność nie była jednak jeszcze obciążona ciężarem świadomości powiązań między zdarzeniami). Jako dzieci byliśmy w stanie powtarzać słowa, zdania, a nawet całe wypowiedzi, których nie rozumieliśmy. Opisywać sytuacje z dokładnością do gęstości opadów, w chwili

takiego lub innego kąta padania światła, chociaż nadal nie potrafiliśmy dobrze odczytywać godzin z cyferblatów zegarków. Nadal pamiętam kształt płatka śniegu na włosach Gabsa, chociaż do dziś niewiele wiem o strukturze cząstki wody. Dlatego przyciśnięta przez mamę, mogłam jej opowiedzieć o rzeczach, których byłam świadkiem, a Gabs uzupełniał moją opowieść o to, czego ja nie zauważyłam lub nie usłyszałam, bo patrzyłam akurat w inną stronę.

Wspomniałam o śniegu, ale śnieg pojawił się później. Najpierw było lato i wakacje. Rodzice pojechali do Włoch. To miał być romantyczny dwutygodniowy wyjazd cementujący ich związek, więc my zostaliśmy z dziadkiem. Dzień po ich odejście zadzwonił telefon. Dziadek odebrał w salonie. Pochwyciliśmy smakujące przygodą słowa „wykopaliska archeologiczne”. Bezszelestnie padliśmy na brzuchy i zaczęliśmy się czołgać przez salon w stronę fotela, na którym siedział dziadek. Przywarliśmy do podłogi za kanapą.

– ...córka i zięć powierzyli mi wnuczęta, są jeszcze mali, nie mogę ich zostawić, więc musiałbym przyjechać do Czchowa z nimi...

Na te słowa niemal popuściliśmy z radości, ignorując nawet dziadkową zniewagę. Jacy mali? Mieliśmy już prawie po dziesięć lat!

– ...nie będą przeszkadzać. Wsadzi się ich do wykopu, niech gmerają w ziemi, da im pan kilka kości do zabawy i będziemy ich mieli z głowy na cały dzień... – zdusiliśmy chichot, krztusząc się z uciechy, tymczasem pan po drugiej stronie chyba nie był w dobrym nastroju, bo po chwili usłyszeliśmy, jak dziadek odpowiada kwaśno: – To był żart, drogi panie. Do zobaczenia na miejscu.

Słuchawka opadła na widełki, jęknęły sprężyny fotela, zaskrzypiały klepki parkietu, a potem wielki czarny cień wyłonił się zza oparcia kanapy i padł na nas. Podnieśliśmy głowy i spojrzeliśmy w górę na dziadka.

– I co tak rechoczenie, głuptasy? – Spytał srogo, ale na ustach błąkał mu się ironiczny uśmieszek. – Ja nie żartuję. Pojedźcie ze mną do Czchowa, bo mam tam robotę.

Ale macie siedzieć grzecznie w wykopie.

– A dostaniemy kościotrupa do zabawy?

– Albo ducha?

– Albo neandertalczyka?

– Albo andertalczyka?

– Albo pieska?

– Czy ten pan był żywy, czy umarły?

– Czy dostaniemy bombonierkę z Wiednia?

– Dostaniecie gracki i szpachelki i będziecie mogli się wybrudzić od stóp do głów.

Zapowiadała się zabawa na sto dwa! Nawet nie podejrzewaliśmy, że będzie tak fajnie.

Następnego dnia rano dziadek spakował niewielką walizkę, prowiant i nas do samochodu i ruszyliśmy. Jeszcze nim wyjechaliśmy z miasta prowiant został poważnie naruszony. Wkrótce byliśmy tak objedzeni, że zasnęliśmy na tylnym siedzeniu. Gdy się zbudziliśmy, dziadek wjeżdżał na rynek jakiegoś miasteczka. Zupełnie inny niż nasz Rynek krakowski, bo ten był pochyły. Otaczały go niskie zabudowania.

– Wysiadać! – Zawołał do nas dziadek. – Jesteśmy w Czchowie, dawnym Białym Kościele, czyli Alba Ecclesia. Pamiętajcie, że macie być grzeczni. I powiedzieć pani „dzień dobry”.

– Jakiej pani?

– Zaraz zobaczycie.



Wysiedliśmy, a dziadek poprowadził nas na szczyt rynku, gdzie stał pomnik św. Floriana. Jednak to nie on zwrócił naszą uwagę, lecz...

– Kotek! – Wrzasnął Gabs. – Patrz!

– To jest lwiątko – poprawiłam go.

Rzuciliśmy się na kamienną rzeźbę i zaczęliśmy tulić romańskiego lwa i głaskać jego zimną grzywę. Dlatego też nie przywitaliśmy się z panią, która czekała tu na dziadka. Ale on przywitał się za nas.

– Dobrze, że pan jest. Ja panu wszystko pokażę.

– Pani się tu zna najlepiej – odezwał się dziadek szarmancko.

– Pani jest prawdziwą skarbnicą wiedzy o tym mieście.

– Proszę pana, ja komplementy przyjmuję tylko w piątki!

– Dziś jest piątek.

– Więc dobrze pan trafił.

Roześmiali się obydwójce głośno, aż podnieśliśmy głowy zaskoczeni dziwnym zachowaniem dziadka. Szczerze mówiąc, to do dziś nie wiemy, po co on tam właściwie pojechał. Chyba zaglądać w dawne dzieje i ustalać jakieś fakty historyczne. Coś tam z tą panią i archeologami badali. Ale co? Nie mam pojęcia. Bo wtedy w Czchowie mieliśmy na głowie własne sprawy. Szliśmy za dziadkiem i tamtą panią w dół rynkiem. Minęliśmy gotycki kościół i plebanię, ale się nie zatrzymaliśmy, pani prowadziła nas dalej. Na wzgórzu przed nami ukazała się kamienna baszta.

– Piękna jest ta nasza baszta. Mieściło się tam kiedyś więzienie – odezwała się pani wesołym głosem. – Burgrabia Imram, syn Żegoty..., kojarzy pan?

– Tak, pamiętam. Szemrany typek.

– Oj tak. Bardzo gorliwy. Wie pan, że on w 1356 roku utrzymywał tu tak zwaną policję królewską. Ładna mi policja! Zwykle grodowe draby. Swawolnicy jakich mało.



Idąc, gapiliśmy się na budowlę. Momentami, jak mocniej przyświeciło słońce, tak że byliśmy zmuszeni mrużyć oczy, zdawało nam się, że widzimy cały królewski zamek obronny otoczony grubymi murami.

Weszliśmy w las. Stroma ścieżka pięła się na pagórek wyrastający naprzeciwko zamkowego wzgórza. Wkrótce ujrzeliliśmy stanowisko archeologiczne. Naprzeciw nam wyszedł archeolog. Z tamtą panią znał się, zdaje się, całkiem nieźle. Przywitał się z nią i dziadkiem. Nam zaś od razu został wręczony sprzęt do odgrzebywania leżących w ziemi artefaktów przeszłości. Jakiś student wsadził nas szybko do wykopu i pokazał, jak delikatnie rozkopywać ściany, gdzie wyrzucać ziemię i jak omiatać skorupy. W sumie było trochę jak w piaskownicy, tylko o wiele brudniej, więc fajniej. Dobrze jest być porządnie utyłanym!

↑ Wykopalska archeologiczna w Czchowie prowadzone przez archeologów z Muzeum Okręgowego w Tarnowie, l. 90. XX w. Ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Tarnowie

← Widokówka z ruinami zamku i kościołem cmentarnym św. Anny w Czchowie, ok. 1900 r., fot. J. Zajączkowski. Ze zbiorów MNK, MNK XX-p-84

Słyszeliśmy, jak tamci kawałek dalej rozmawiają.

– Na zamku znaleźliśmy groty strzał tatarskich – wyjaśniał archeolog. – Trudno powiedzieć, czy stało się to podczas ich pierwszego najazdu na ziemię polską w 1241 roku, czy podczas drugiego w latach 1259–1260.

– Ten drugi był znacznie groźniejszy – odezwała się pani. W jej głosie pobrzmiwały takie tony, jakby brutalność Tatarów była powodem do dumy dla mieszkańców miasteczka. – Stawiam na ten drugi.

– Tego nie możemy powiedzieć na pewno – wtrącił archeolog. – Proszę za mną. Obejrzymy sobie te groty. Zmarłych zdaje się musieli zabrać...

Pracowaliśmy dalej, gdy nagle poczułam na nosie lekki jak puch płatek śniegu. Roztopił się, a ja stałam mokrą kropłą. Ale już kolejne opadły mi pojedynczo na policzki, czoło i włosy. Podniosłam głowę i spojrzałam na Gabsa. Na jego jasnych kosmykach szklily się śniegowe gwiazdki. Na moment zaskoczył mnie ten widok w lipcu, ale już po chwili zajęło mnie coś znacznie ciekawszego.

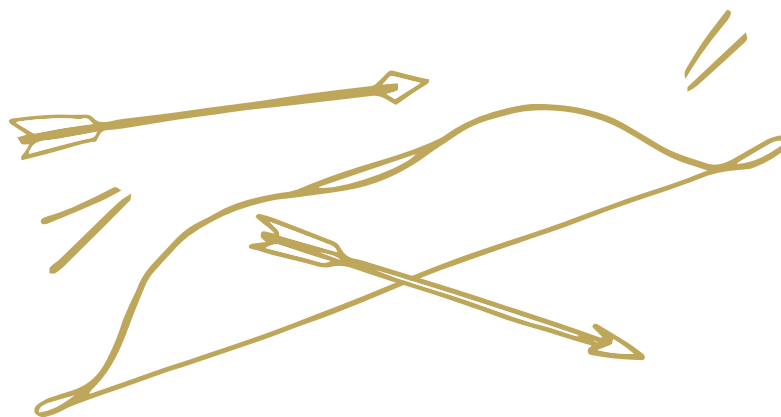
Najpierw poczuliśmy, że cały pagórek drży, niczym podczas trzęsienia ziemi. Wtedy Gabs również uniósł głowę znad wykopu. Gleba, chwilę temu jeszcze miękka i wilgotna, teraz zrobiła się twarda i zimna, skostniała. I wtedy usłyszeliśmy narastające dudnienie, jakby zbliżała się jakaś straszna burza. Po chwili zrozumieliśmy, że to tętent galopujących koni.

– Kryj się! – Krzyknęłam i pociągnęłam brata pod ścianę wykopu, do której przywarliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Grudy gliny posypały się nam na twarze i zza tej zasłony ujrzelśmy przelatujące nad nami rozwarte pyski toczące ślinę, kopyta, spocone końskie brzuchy, ogony zaplecione w grube warkocze. Jeden po drugim przeskakiwały nad dołem, w którym siedzieliśmy. Widzieliśmy pochylone sylwetki Tatarów i ich podkurczone nogi, która to pozycja dodawała im prędkości w siodle, zupełnie jak dzisiejszym dżokejom. Niektórzy za uzdy trzymali luzaki, nieobciążone jeźdźcami wierzchowce, na które mogli w czasie jazdy przeskakiwać. Byli opancerzeni wraz z końmi w zbroje z rogowych i skórzanych łusek. Uzbrojeni w krzywe łuki, do boków

przytwierdzone mieli jatagany, krótkie szable o podwójnie zakrzywionym ostrzu, i arkany, na które mogli chwycić ludzi i zwierzęta.

Wygrzebaliśmy się z ziemi i zgięci wpół pomknęliśmy za Tatarami w dół przez las. To może nie było zbyt mądre, ale dziadka, jego znajomych ani nikogo z ekipy archeologicznej nie było widać. A nas niezmiernie zainteresowała tatarska orda. Tym razem to Gabs pierwszy zobaczył niebezpieczeństwo. Byli tuż przed nami. Na migi wskazał drzewo. Wspięliśmy się na nie, żeby obserwować, jak szturmują zamek. Wypuścili chmurę strzał. Ich łuki miały ogromny zasięg. Niektóre odbijały się od murów, lecz większość przelatowała nad nim, ścinając obrońców. Zimowy mrok rozjaśnił grad ognistych strzał, który posypał się na twierdzę, podpalając częstokoły. Wtedy nasi wojacy wycofali się do środka wieży, niszcząc za sobą pomosty i blokując wejście. Stamtąd odpierali atak pociskami z kusz.

Wkrótce zrobiło się strasznie zimno, ogarnęło nas przeżenie – co jeśli Tatarzy nie zdecydują się na długie oblężenie i zechcą wracać tą samą drogą? Jeśli nas znajdą, to złapią na arkany i wezmą w niewolę. Korzystając ze zgiełku, jaki czynili atakujący i obrońcy oraz świszczące wokół strzały, zsunęliśmy się z naszego punktu widokowego i na czworakach, jak jakieś małe leśne zwierzątka, pomknęliśmy przez las, między drzewami i krzakami, licząc, że wezmą nas za lisy albo borsuki.





– Tam się świeci światło – szepnął Gabs, wskazując dolinę.

Przedarliśmy się na dół pod osłoną nocy. Oświetlony budynek okazał się tym gotyckim kościołem, który mijaliśmy za dnia. Na tle fioletowego nocnego zimowego nieba zobaczyliśmy smukły dach. Dużo później, jak już nauczyłam się datować nasze przeskoki i zaczęłam również archiwizować stare przygody, gdyż lubię mieć w wiekach i faktach porządek, zrozumiałam, że biegnąc w stronę kościoła, poruszaliśmy się również do przodu na linii czasu. Gdy dobiegliśmy na miejsce, musiał być już koniec XIV wieku (wskazywały na to malowidła wewnątrz kościoła, powstałe po 1368 roku). Kościół, wraz z placem otoczonym murem, znajdował się na skraju miasteczka. Świątynia była orientowana, zbudowana, tak jak i zamek, z ciosów kamiennych. Elewację częściowo opasywały szkarpy trzymające mury w ryzach. Główna brama, ta od zachodu, była zamknięta. Weszliśmy bocznym wejściem od północy, drzwi odrobinkę skrzypnęły, gdy wślizgiwaliśmy się do niewielkiego przedsionka. Przeszliśmy do bocznej kaplicy, a stamtąd do głównej nawy. Echo naszych kroków rozniosło się po wnętrzu, ale odpowiedziała mu cisza. Byliśmy tu sami. Ucichły bitewne okrzyki. Zrobiło

Widokówka z Czchowa, na pierwszym planie gotycki kościół i drewniana dzwonnica, w głębi zachowana baszta z czchowskiego zamku, l. 20. XX w. Ze zbiorów MOKSIR w Czchowie

się naraz spokojnie i bezpiecznie. Usiedliśmy w drewnianej ławie, zagapieni na malowidła ściennie. Bardzo tajemnicze i surowe zdawały nam się wtedy te postaci, skąpo oświetlone płomieniami świec.

Głowy z wolna zaczęły nam się kiwać i wkrótce spaliśmy zwinięci na ławie, jak dwa małe koty zetknięte łebkami. Tak też znalazł nas dziadek. Nie był, o dziwo, zły, ale czym prędzej kazał nam się zbierać. Wkrótce mknęliśmy samochodem w stronę Krakowa. Byliśmy przekonani, że umykamy przed Tatarami.

Mama była wściekła na dziadka. Gdy tylko skończyliśmy naszą opowieść, pobiegła do niego na górę, my zaś wyszliśmy do ogrodu i stanęliśmy pod oknami, by wszystko usłyszeć.

– Mam się uspokoić? – Syczała mama. – Oni widzieli Tatarów! Tatarów! Oni nie powinni byli widzieć...

– Przecież to nie ich wina. Dobrze o tym wiesz – powiedział dziadek spokojnie. – Co się zobaczy, to się już nie odzobaczy. Nawet jeśli wy tego nie rozumiecie i nie chcecie zrozumieć. Dajcie im jednak spokój. Co ma być, to będzie. To nie ich wina.

Miło, że nas bronił, chociaż przecież to była nasza wina. Gdybyśmy siedzieli w wykopie, jak dziadek przykazał, zamiast wylazić pogapić się na Tatarów, wszystko byłoby dobrze. Tak wtedy przynajmniej myśleliśmy.



Freski gotyckie z kościoła pw. Narodzenia NMP w Czchowie, koniec XIX w. Ze zbiorów MNK, MNK XX-k-1825

W beluardzie wzniesionym przez Jana Tarnowskiego mieściły się w różnym czasie arianski zbor, ludwisarnia oraz gorzelnia, 1935. NAC



GŁOWA TURKA

BELUARD W ROŻNOWIE

Pamiętam do dziś tę dziką radość w sercu, gdy dziadek kazał nam spakować plecaki na kilka dni i oznajmił, że zabiera nas do beluardu. Nazwa brzmiała tak egzotycznie! Byliśmy z Gabsem przekonani, że to wyprawa do Francji, że nareszcie przeżyjemy naszą pierwszą zagraniczną przygodę. Nieporozumienie zostało jednak od razu wyjaśnione. Zamiast tysiąca pięciuset kilometrów czekało nas dziewięćdziesiąt, do Rożnowa.

To było w następne wakacje po tym, jak walczyliśmy z Tatarami w Czchowie (no dobra, wiem, że nie walczyliśmy, ale lubimy z Gabsem wspominać tamtą historię w ten sposób, bo brzmi to lepiej, niż „pogapiliśmy się na Tatarów z bezpiecznej odległości i poszliśmy na drzemkę”). Znów byliśmy w tym zakątku Małopolski. Przejechaliśmy przez Czchów, a potem skręciliśmy na moment do Iwkowej (wtedy jeszcze nie mieliśmy, ani my, ani dziadek, najmniejszego nawet podejrzenia, jakiego bigosu narobimy w tej wsi kilka lat później... lub kilkadziesiąt wcześniej, zależy, jak na to spojrzeć). Sprawa, którą dziadek miał do załatwienia w Rożnowie, łączyła się według niego w jakiś sposób z Iwkową.

Wieś wydawała się cicha i spokojna, a jej centrum opustoszałe, w końcu trwały żniwa. Jechaliśmy powoli główną ulicą.

– Hmmm – mruknął dziadek, rozglądając się. – Chyba nic tu po mnie. No ale sprawdźmy.

Zajechał na plebanie, a nam kazał zostać w aucie. Otworzyliśmy jednak okno, żeby słyszeć, o czym rozmawia z gospodynią. Chwilę walczyliśmy o lepsze miejsce przy oknie, w końcu oboje wystawiliśmy głowy na zewnątrz, jak dwa zziębnięte psy.

– ...gorszego plebana niż Chechelski nie mieliśmy – biadoliła gospodyni. – Łatwiej by panu rzec, z kim się jegomość nie procesował. Krótsza to lista. Raz to kmiecie rozjuszeni dokończyli inwazję na plebanie. Taki to był temperamentny, niespokojny duch. No i skrzyknął paru chłopów, tego plebana z Tropia i grupę inkszych awanturników, i pojechały het na Rożnow. Zamek zdobywać...

– No to co mnie tu pani zagaduje, jak sprawa pilna...

Dziadek okręcił się na pięcie i już gnał do samochodu. Gospodyni spojrzała za nim zbity z tropu.

– Ale to było w XVII wieku! – Wrzasnęła.

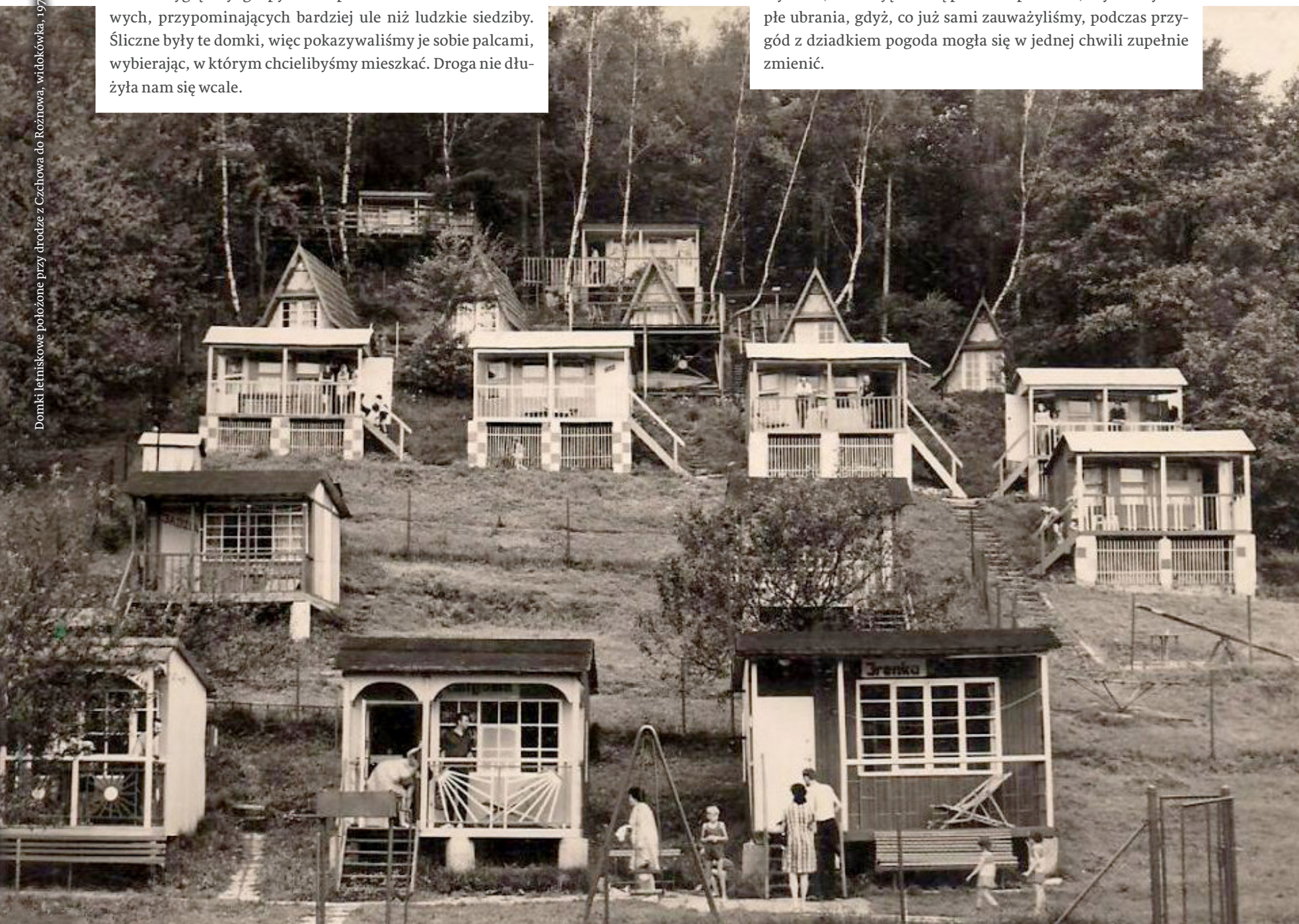
– Więc może być za późno! – Odkrzyknął dziadek.

– No chyba że za późno! – Zawołała kobieta, ale dziadek już wyjeżdżał spod plebanii, ostro driftując na zakręcie. Wrócił na główną drogę i pomknął co koń wyskoczy, w ślad za duchem siedemnastowiecznego plebana. Aleśmy się śmiali, chociaż nie do końca łapaliśmy jeszcze te wszystkie niuanse.



Letnia droga przez lasy i pagórki, najpierw biegnąca wzdłuż rzeki Łososiny, potem doliną Dunajca, była bardzo przyjemna. Po lewej stronie szosy wila się połyskująca ciemna wstęga, wzgórze po prawej porastały lasy. Co jakiś czas spomiędzy drzew wyglądały grupy maciupieńkich domków letniskowych, przypominających bardziej ule niż ludzkie siedziby. Śliczne były te domki, więc pokazywaliśmy je sobie palcami, wybierając, w którym chcielibyśmy mieszkać. Droga nie dłużyła nam się wcale.

Wjechaliśmy do Rożnowa, zacisznej, letniskowej wioski, ukrytej między wzgórzami. Nic nie wskazywało na to, by rozgrywały się tu właśnie jakieś niesamowite wydarzenia. Dziadek zaparkował pod sklepem i powiedział, że byśmy wysiedli, zabierając z sobą plecaki. Sprawdził, czy mamy ciepłe ubrania, gdyż, co już sami zauważyliśmy, podczas przygód z dziadkiem pogoda mogła się w jednej chwili zupełnie zmienić.





Pierwsze, co rzuciło nam się w oczy, to klasycystyczny dwór Stadnickich z XIX wieku. Z daleka bardzo imponujący, duży, pobielony, z czterema kolumnami doryckimi od frontu i czerwonym dachem; wyglądał jak fragment planu filmowego, aż się prosił o grupę postaci w kostiumach. Gabs upierał

się, że widział piękne panie w długich sukniach oraz eleganckich panów przechadzających się po ogrodzie. Może i widział ich rzeczywiście, a może odtwarzał sobie w głowie jakieś sceny z filmu w rodzaju *Trędowatej* albo *Nocy i dni*.



Dopiero gdy podeszliśmy bliżej, dało się zauważyć wyraźne zaniedbanie dworu i mieszczącego się tuż obok podłużnego budynku, który wzięliśmy za stajnię. Od dawna nikt tu nie mieszkał i nikt nie dbał o te włości.

– Na ten zamek napadł ksiądz z Iwkowej? – Zapytał Gabs.

– Ale ty jesteś głupi – prychnęłam z pogardą. – Przecież to budynek z XIX wieku, powinieneś umieć to już rozpoznać. I łączyć fakty, dzieciaczku.

– Masz rację – pochwalił mnie dziadek, więc pokraśniałam z dumy. Rozejrzał się wokoło, wypatrując jakichś znaków, po czym dodał. – Zapomnijcie o tym księdzu, to był jedynie pretekst, aby nas tu zwabić. Od samego początku chodziło o beluard i zamek dolny, czy raczej to, co z niego zostało.

– Jaki zamek? – Spytałam, bo żadnego zamku nie było widać.

– Chodźcie, to wam pokażę. Być może nic tu po nas. To chyba jedna z tych sytuacji, kiedy możemy tylko spoglądać i najwyżej czegoś się dowiedzieć. Zdobyć informacje i umieścić je na linii czasu. Rozumiecie?

– Nie bardzo.

– Hm, może dlatego, że dla was, tak jak dla mnie czas również nie jest liniowy. To nic. Kiedyś może zrozumiecie.

Gabs za plecami dziadka popukał się w głowę, a ja zachochałam. Szliśmy za dziadkiem przez wysokie chaszcze, a on torował nam drogę niczym dziki przewodnik wyrąbujący maczetą ścieżkę w dżungli. Dotarliśmy do czegoś, co z początku wyglądało jak pagórek. Dopiero z bliska dało się rozpoznać, że to dach. Doszliśmy do wąskiej ścieżki wydeptanej przez tuziemców. Biegła nieco w dół i była oznaczona śladami ich bytności w postaci puszek i butelek po piwie (raczej nie dlatego, że, jak nam wyjaśnił dziadek, okresowo mieściła się tu kiedyś gorzelnia) oraz innych śmieci, a im bliżej byliśmy tajemniczej budowli, tym śladów tych było więcej i większe były ich gabaryty. Zobaczyliśmy kilka połamanych krzeseł, starą kanapę i skrzynkę po piwie udającą stolik, zupełnie jakby ktoś sobie tu urządził jakąś zabawę w dom.

Ściany z ciosanego kamienia były grube na trzy metry. Przeszliśmy przez jedną, a potem drugą kamienną bramę.

Resztki murów nie miały nad sobą dachu, przykrywał on jedynie boczną część budynku, przypominającą amfiteatr. Nierówne podłoże porastała trawa, a środkiem płynął szmerzący strumyczek, na którego brzegach rosły kępki kwiatów. Byłoby to wszystko bardzo urocze, nawet w formie ruiny, gdyby nie zamierzona ludzka dewastacja, wynikająca chyba tylko z głupoty i potrzeby zaznaczenia swojej bytności za pomocą wulgarnych napisów na pięćsetletnich murach, które to napisy bawiły wtedy i mnie, i Gabsa niezmiernie. Dziadek nazwał nas głupolami, po czym położył nam dłonie na ramionach i powiedział surowo:

– Możecie się tu pobawić.

– Hurra, ale super!

– Jeszcze nie skończyłem. Nie wolno wam wchodzić na dach ani wspinać się po murach, bo sobie poskręcacie karki albo porozbijacie te wasze puste łepetyny. Nie wściekajcie do lochów i nie próbujcie się przedostać tunelem w stronę Dunajca. Trzymajcie się razem, nikogo nie zaczepiajcie, z nikim nie rozmawiajcie i nie przygarniajcie żadnych zabłąkanych psów, kotów ani koni. Rozumiecie?

– Jasne dziadku. A jakich koni? – Zainteresowałam się.

– Żadnych koni.

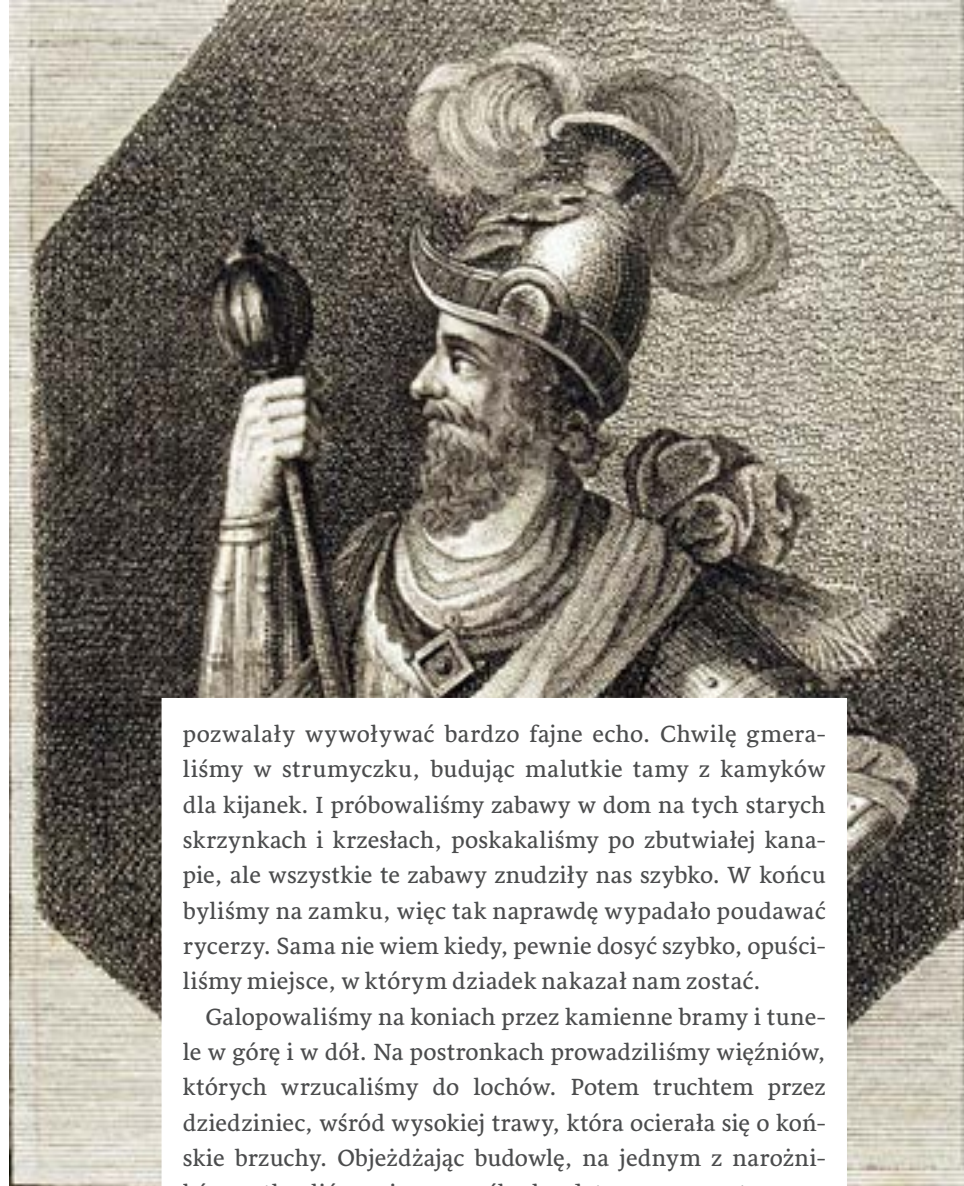
– Są tu konie? – Dopytywał się Gabs.

– Pewnie kiedyś było tu dużo koni, skoro to budowla obronna.

– Jest tutaj tunel?

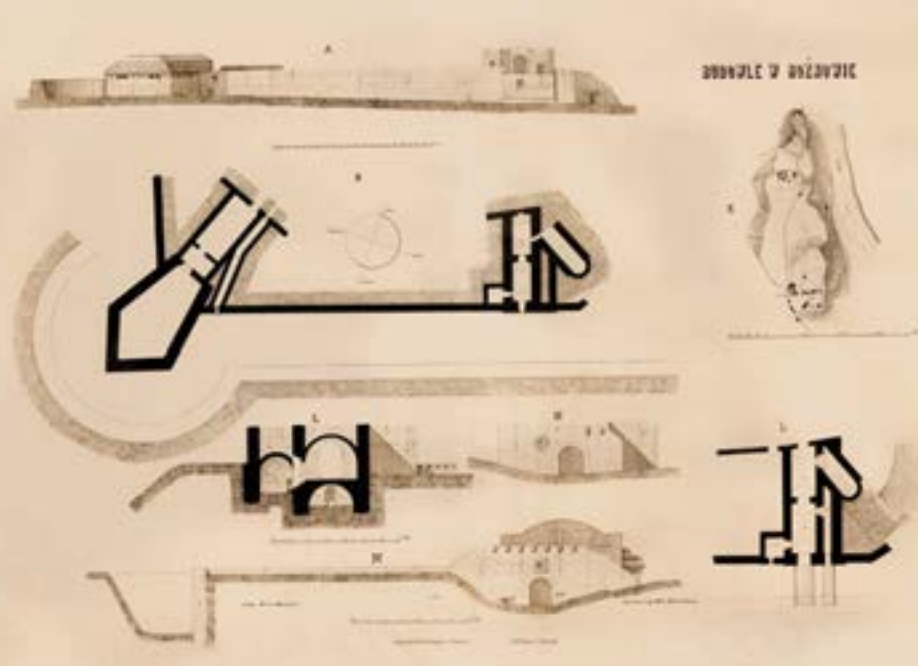
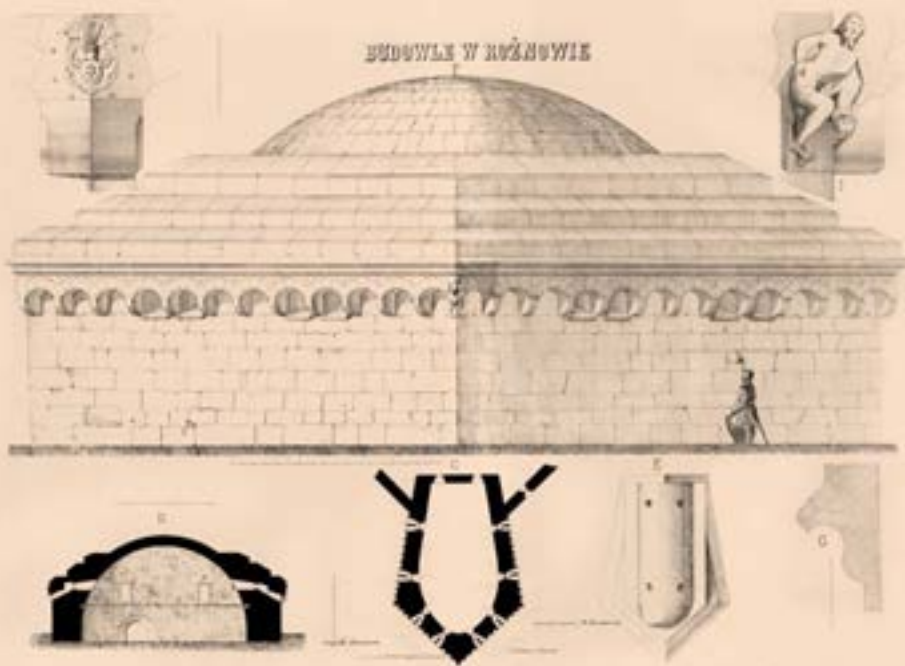
– Kiedyś być może był, ale to nie wasze zmartwienie. Żadnym tunelem macie nie łączyć, bo może się na was zawalić. Najlepiej bawcie się tu, w beluardzie, a ja obejdę to miejsce i zorientuję się, czy mam tu coś do roboty.

I dziadek odszedł, zostawiając nas na tym kamiennym placu zabaw (rodzice nigdy nie dowiedzieli się, że zostawił nas samych. Gdyby wiedzieli, chyba by go ukatrupili. Nie mieli pojęcia, że nam nic nie może się stać. My też tego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, chyba nawet dziadek tego nie wiedział, ale być może zaczynał już podejrzewać i dlatego nie bał się nas zostawiać samych). Przez jakiś czas bawiliśmy się więc w teatr, zwłaszcza że rozmiary pomieszczenia i jego kształt



pozwalały wywoływać bardzo fajne echo. Chwilę gmeraliśmy w strumyczku, budując malutkie tamy z kamyczków dla kijanek. I próbowaliśmy zabawy w dom na tych starych skrzynkach i krzesłach, poskakaliśmy po zbutwiałej kanapie, ale wszystkie te zabawy znudziły nas szybko. W końcu byliśmy na zamku, więc tak naprawdę wypadało poudawać rycerzy. Sama nie wiem kiedy, pewnie dosyć szybko, opuściliśmy miejsce, w którym dziadek nakazał nam zostać.

Galopowaliśmy na koniach przez kamienne bramy i tunele w górę i w dół. Na postronkach prowadziliśmy więźniów, których wrzucaliśmy do lochów. Potem truchtem przez dziedziniec, wśród wysokiej trawy, która ocierała się o końskie brzuchy. Objeżdżając budowlę, na jednym z narożników natknęliśmy się na rzeźbę brodatego rycerza trzymającego w ręku odciętą głowę Turka. Zafascynowała nas, jak wszystkie makabryczne motywy, na które natykaliśmy się podczas naszych wypraw i w opowieściach dziadka. Znaleźliśmy też zniszczoną tablicę informacyjną dotyczącą zamku i jej twórcy Jana Amora Tarnowskiego. Gabs był przekonany, że to właśnie Jan Amor musiał być owym rycerzem trzymającym głowę Turka. Na dowód brudnym palcem wskazywał fragment o podróżach hetmana (między innymi do Turcji) na odrapanej tablicy.



Tablica zainspirowała nas do nowych zabaw. Przede wszystkim w hetmana wielkiego koronnego budującego renesansową fortyfikację obronną. Każde z nas na zmianę było hetmanem i nadwornym budowląncem, który mówił głównie: „Panie, to się nie da, zawali się panu ten beluard”. Co nas z jakiegoś powodu strasznie bawiło. Zwłaszcza że ten, kto odgrywał budowląńca, wsadzał sobie w usta gumę do żucia w kształcie papieroska i mówił z tym papieroskiem, plując niekiedy w bok. Na naszych oczach powstawał budynek, który miał plan pięcioboku o trzydziestometrowej osi. Wdzieliśmy krzątających się wokół robotników (ponaglanych i pouczanych przez majstra) zwożących znad Dunajca łupany kamień. Chodziliśmy wokół placu budowy, doglądając robót i komentując ich postęp. Wytoczyliśmy drewniany ganek biegnący wewnątrz beluardu, tak by strzelcy mieli dostęp do okienek. Patrzyliśmy, jak robotnicy wznoszą mur obronny

i jako pierwsi wjechaliśmy główną bramą do twierdzy na naszych rumakach. Objechaliśmy warowny zamek zadowoleni z efektów, że oto pod naszym okiem powstał tak wspaniały przykład nowożytniej fortyfikacji.

Zajrzeliśmy też do studzienki na uboczu, nad którą wybudowano zadaszenie. Gabs bez sukcesu szarpał zardzewiałą bramkę broniącą dostępu do środka. Pewnie w obawie, że przychodzące tu na popijawy typki albo tacy jak my smarkacze mogliby się potopić w ferworze zabawy.

Gdy wybudowaliśmy już zamek, zaproponowałam, korzystając z dalszych szczątkowych informacji, które wyczytaliśmy na tablicy:

– Co pan na to, panie majster, żebyśmy sobie pogalopowali podsłuchać tej awantury katolików z arianami?

– Świetna myśl, panie hetman.

Zaczeliliśmy więc czołgać się w trawie, zimnej i mokrej, gdyż owa dysputa teologiczna miała miejsce ze sto lat po tym, jak zbudowaliśmy twierdzę, w marcu roku pańskiego 1660. Mieliśmy okazję posłuchać przemowy Andrzeja Wiszowatego – filozofa, teologa i ideologa braci polskich, który mówił o religii zgodnej z rozumem i o posługiwaniu się rozumnym sądem także w kwestiach związanych z wiarą. I o tym, jak zawsze należy się trzymać tego, co prawdziwe i dobre i cały wysiłek w to wkładać. Niewiele z tego wtedy zrozumieliśmy, a ostatnie, co zapamiętałam, to jak kasztelan Jan Wielopolski, ujęty inteligencją przemawiającego, proponuje Wiszowatemu pozostanie w Polsce, która potrzebuje ludzi rozumnych. Za przejście na katolicyzm oferował mu wieś Gródek. Ten jednak odmówił:

– Lepiej dobra stracić i cześć obywatelską niż czyste sumienie.

– Ja bym wziął ogródek – powiedział Gabs sennie.

– Gródek, łachudro – mruknęłam.

Nakryliśmy się naszymi ciepłymi kurtkami. Zwinęliśmy plecaki pod głowy i po chwili spaliśmy w trawie jak dwie polne myszy. I tak też odnalazł nas dziadek. Obudził, lekko nami potrząsając, żebyśmy się nie przestraszyli. Otworzyliśmy oczy i zobaczyliśmy pomarszczoną twarz dziadka na tle rozgwieżdżonego letniego nieba.

– Pan nie przyjął Gródka – oznajmiłam.

– Ani ogródka – dodał Gabs.

– Czasami lepsze czyste sumienie od najlepszego ogródka – zaśmiał się dziadek, pomagając nam zbierać nasze bambette rozrzucone w trawie.

– Też tam byłeś – zauważyłam.

– Byłem.

– A widziałeś, jak wcześniej budowaliśmy beluard?

– Niestety nie – powiedział dziadek, a w tonie jego głosu zabrzmiała ta nowa nuta głębokiej zadumy nad czymś, jak się z czasem okazało, nieuchronnym. Szliśmy w kierunku samochodu przez wysoką suchą trawę chrzęszczącą pod nogami. Dziadek dodał cicho, bardziej do siebie niż do nas.

– Chyba znowu udaliście się dalej niż ja.



Panorama Kacwina / Widok na Kacwin ze starej drogi prowadzącej na Łąpsze, lata 90. XX w., fot. A. Gryczyński. Ze zbiorów A. Gryczyńskiego



KOCI ZAKĄTEK
WIEŚ KACWIN NA SPISZU

– Pomiedzy 1915 a 1918 rokiem każdej nocy Maryna Krawczyk, młoda mieszkanka wsi Kacwin, pielgrzymowała na klęczkach do kaplicy Matki Boskiej Śnieżnej, ubrana w odświętny, biały strój. Tyle wiadomo na pewno – powiedział dziadek. – Wasze zadanie polega na zajrzeniu za kulisy, aby poznać kontekst tej sprawy.

Tego, że dziadek poddaje nas niezliczonym mniejszym i większym testom domyśliliśmy się znacznie wcześniej, niż nam o tym powiedział. Zaczęło się to wkrótce po niefortunnych występach w Iwkowej. Dziadek musiał w końcu zaakceptować fakt, że dziwne sprawy będą nas przyciągać, a nieuświadomieni i niewyszkoleni możemy narobić szkód. W pewnym sensie przygotowywał nas do obcowania z przeszłymi wiekami i tym, co dla innych niewidzialne, od samego początku. Ale nie od razu zorientował się, że potrafimy znacznie więcej niż on, a więcej niekoniecznie musi oznaczać coś dobrego.

Według dziadka jest na świecie trochę takich miejsc, które dla dziwołogów naszego pokroju są jak wioski olimpijskie dla sportowców, miejsca jakby stworzone po to, by testować tam swoje umiejętności i mierzyć sprawność. Takim nazwijmy to umownie magicznym miejscem miał być Kacwin. Nikt tam nie wezwał ani dziadka, ani nas z jakiegoś konkretnego powodu, jak to zwykle bywało. Zostaliśmy tam wysłani na sprawdzian wymyślony przez dziadka. By obudzić w nas ducha współzawodnictwa, który to duch i tak był całkiem żywy i doarty, dziadek oznajmił, że któreś z nas ma więcej mocy niż to drugie, ale trudno powiedzieć które, bo do tej pory działaliśmy w duecie. A wakat na miejsce dziadka jest tylko jeden. Jedna tylko osoba może odbierać te telefony sprzed dziesięcioleci i otrzymywać listy z zaproszeniami na bale w pałacach, by ściągać duchy przodków gospodarzy.

– Nie odejdę, dopóki nie będę mieć absolutnej pewności, że moje miejsce zajęła osoba kompetentna. I pamiętajcie, nawet jak odejdę bardzo daleko, w zaświaty albo jeszcze dalej, to zawsze mogę wrócić wytknąć błędy i udzielić reprimendy. Jeśli się zdecydujecie przyjąć mój los, to nie ma odwrotu. Pamiętajcie o tym. Ten, kto kroczy taką drogą, jest bardziej

Kapliczka pw. Matki Boskiej Śnieżnej w Kacwinie, 1993, fot. A. Gryczyński. Ze zbiorów A. Gryczyńskiego

samotny niż zjawą w pustym zamku i skazany na wieczne niezrozumienie. Nie każdy potrafi sobie z tym radzić. Niektórzy tylko dziwaczej, odtrącając od siebie wszystkich tak zwanych normalnych ludzi, inni popadają w obłęd i lądują u czubków. To już nie zabawa w uganianie się za duchem psa czy umilanie sobie wycieczki scenami batalistycznymi. Nikt nie przyjdzie wam na ratunek, jak narobicie kłopotów sobie lub zleceniodawcom, albo przypadkowym ofiarom waszej głupoty. Więc powtarzam wam – zastanówcie się głęboko, czy tego chcecie. Bo nie musicie iść tą drogą. Możecie wybrać inną, jak wasza mama. Odciać się na zawsze.

Obiecaliśmy się zastanowić, a dziadek spojrzał na nas z powątpiewaniem. Dobrze widział, że nad niczym nie będziemy się zastanawiać, już dawno podjęliśmy decyzję. Niekoniecznie z właściwych pobudek, ale fakt pozostaje faktem – byliśmy zdecydowani iść w ślady dziadka.

Wyruszyłam z domu, gdy było jeszcze ciemno. Słyszałam, jak Gabs chrapie w pokoju obok. Nie chodziło o to, że chciałam zyskać na czasie, po prostu musiałam jeszcze zgarnąć po drodze pomocnika, którego poznałam, gdy byliśmy z klasą na zielonej szkole w Dobrej koło Limanowej. Mój pomagier był typowym nocnym markiem i musiałam go złapać przed świtem. Na szczęście Dobra była mi po drodze.

Przejeżdżając przez wieś, uchyliłam okno i pogwizdując, rozglądałam się, aż usłyszałam chrzęst żwiru, skrobanie pazurów i coraz głośniejsze ziajanie. Spomiędzy zabudowań wybiegł ogromny biały pies, tak jasny, że wydawał się spowity w połyskliwą, księżycową poświatę. Zagwizdałam raz jeszcze i uchyliłam drzwi pasażera, a pies wskoczył na siedzenie.

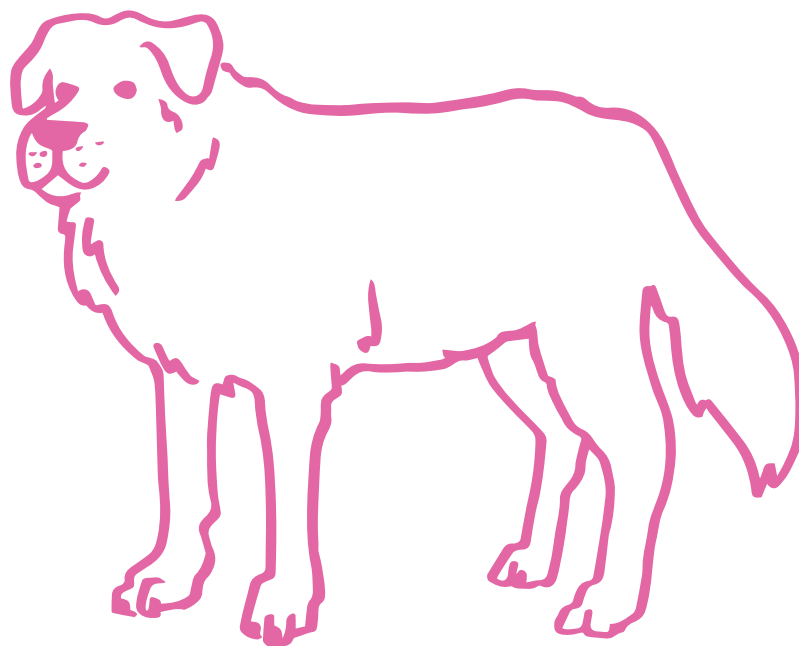
– Cześć, Skrzacie.

Szczeknął w odpowiedzi i przeskoczył do tyłu. Tam zwinął się do spania i schował łeb w sierść. Wyglądał jak duża biała poduszka. Uśmiechnęłam się i ruszyłam w dalszą drogę. Wkrótce zaczęło się rozwidniać. Gdy zatrzymałam się na stacji benzynowej, żeby wypić kawę i zjeść kanapkę, pierwsze promienie letniego słońca wynurzyły się zza pagórków. Wróciłam do samochodu. Skrzata nie było w środku. Nie

przejęłam się tym. Wiedział, dokąd się wybieram, byłam pewna, że wróci, gdy nastanie noc.

Pogórze Spiskie, gdzie znajduje się wieś Kacwin, to część Podtatrza. Jednak krajobraz zupełnie nie przypomina tego, który się widzi, jadąc na narty do Zakopca. Łagodne wzgórza, niezbyt zalesione, zielone, falujące pagórki, a w dolinach lśniąca potoki i skąpane w słońcu, urocze jakby hobbicie wioski. Taką osadą był właśnie Kacwin, wieś na Spiszu, założona na przełomie XIII i XIV wieku w szerokiej dolinie rzeki Kacwinianki.

Przy głównej drodze, na poboczu jeszcze przed wsią, zostawiłam samochód. Dotychczasowe przygody nauczyły mnie, że lepiej nie wjeżdżać do niektórych miejscowości automobilem, bo można narobić szkód. Dziadek nie potrafił zabierać z sobą tak wielkich obiektów, jednak my, jak się okazało, posiadaliśmy tę umiejętność, przynajmniej jedno z nas. Wyjęłam z bagażnika plecak i ruszyłam drogą w kierunku zabudowań.



Kacwin był wioską położoną nieco na uboczu, przez długi czas znajdował się w oddaleniu od głównych szlaków komunikacyjnych czy turystycznych i może dzięki temu zachował swój specyficzny klimat, niemal nienaruszony przez irytujące znamiona nowoczesności. Zamiast sieciowych supermarketów i reklam na każdym płocie są tam kapliczki w niewielkich zagajnikach, a tu i ówdzie zachowane stare spichrze, zwane sypańcami, które jakimś sposobem uniknęły rozbiórki pomimo rozporządzenia o obowiązkowym burzeniu starych budowli.

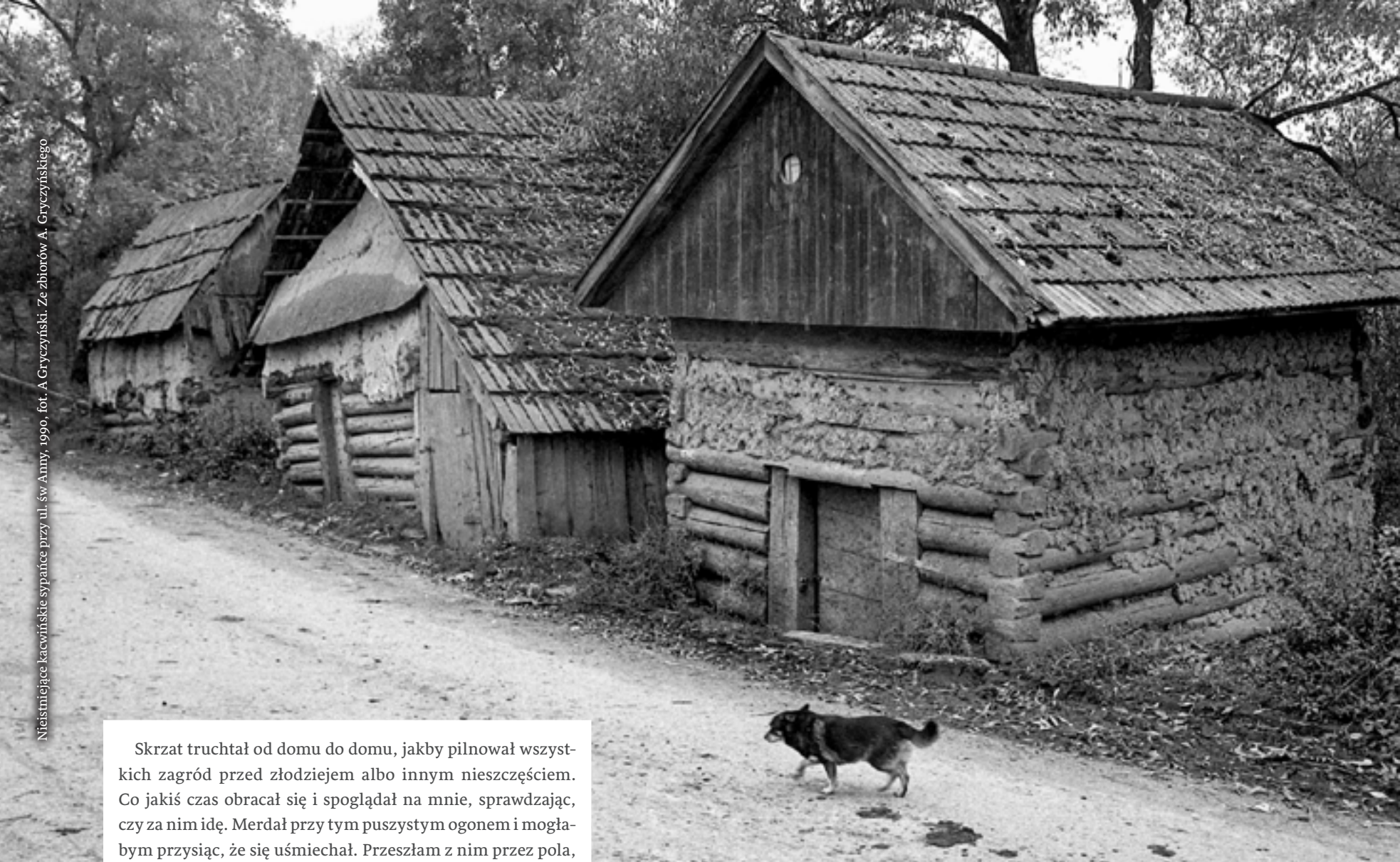




Już wkrótce, przy okazji śledztwa w sprawie Maryny, o którą przepytywałam ciotce i wujków, dowiedziałam się o owych sypancach całkiem sporo, gdyż kacwinianie bardzo je sobie chwalili. Z dumą pokazywali osobiwą konstrukcję tych budynków – kopulasto sklepione zręby polepione gliną. Wiedziałam nawet jeden sypaniec, w którym gliniaste sklepienie wypaliło się podczas pożaru na cegłę!

Snułam się po wsi, wypatrując śladów Maryny i zastanawiając się, jakie też kroki podjął Gabs, by zbadać sprawę. Ciekawa byłam, czy ludność gada z nim równie chętnie jak ze mną. Po południu, gdy wzmógł się upał, zadrżałam do kościoła Wszystkich Świętych. Chciałam odpocząć, a przy okazji obejrzeć siedemnastowieczny ołtarz z malowidłem przedstawiającym adorację Świętej Trójcy. Poza mną były tam tylko dwie osoby: pochłonięta modlitwą staruszka i jej znajoma, relacjonująca scenicznym szeptem dramatyczne losy jakichś swoich krewnych, z mocno zarysowanym wątkiem więziennej odsiadki. Brak jakiejkolwiek reakcji ze strony modlącej się nie zniechęcał jej koleżanki. Tymczasem umieszczone w dole obrazu postaci świętych, którym się przypatrywałam, zdawały się przewracać oczami, słuchając tej historii. W szczególności Szczepan w stroju diakona.

Zbudziłam się nagle. Kościół był pogrążony w wieczornym półmroku. Upał całe szczęście zelżał, czas ruszać. Za bramą kościoła już czekał na mnie wielki biały pies merdający ogonem. Skrzat był dobrym duchem przysparzającym dobytek. Ale nie tylko. Mógł być nieocenionym pomocnikiem dla takich jak my, on też funkcjonował na granicy światów. My tkwiliśmy w tym rzeczywistym, wychylając się jedynie za jego granice. On zaś odwrotnie, można by rzec, że jedną łapą przebywał w naszym świecie, a trzema w tych światach równoległych. Nie był to pierwszy pies z innego wymiaru w moim życiu, trochę więc się już na nich poznałam.



Skrzat truchtał od domu do domu, jakby pilnował wszystkich zagród przed złodziejem albo innym nieszczęściem. Co jakiś czas obracał się i spoglądał na mnie, sprawdzając, czy za nim idę. Merdał przy tym puszystym ogonem i mogłabym przysiąc, że się uśmiechał. Przeszłam z nim przez pola, których doglądał, aby obrodziły, i stałam na czatach, gdy zaglądał do stajni, zapewne po to, by zwiększyć mleczność krów. W końcu powiodł mnie tą samą trasą, którą na klęczkach pielgrzymowała Maryna aż do kapliczki Matki Boskiej Śnieżnej. Usiadłam powyżej, na zboczu góry. Po chwili przysiadł się do mnie starzec.

– W dniu ślubu Maryny podano tradycyjny weselny kołacz. Według zwyczaju porobiono w nim dziury baraním rogiem. Okruchy ciasta przylepiły się do tacy. To był zły omen.

Niebawem mąż Maryny uciekł nocą do Pesztu. Nieszczęsna dziewczyna ślubowała Maryi, że będzie co noc pielgrzymować do tej kapliczki, by wyjednać powrót małżonka. Wielkiej wymagało to od niej odwagi, pokory i poświęcenia. Droga prowadziła obok cmentarza, kilometr gliniastym szlakiem, a ona pęzała tak każdej nocy przez cztery lata, jesienią w deszczu i zimą w śniegu – starzec skończył opowiadać i od razu odszedł.



Niebo nad łagodnie pofałdowanymi pagórkami na wschodzie zaróżowiło się, więc również wstałam. Odprowadziłam Skrzata na skraj lasu. Dał się pogłodzić po łbie, sierść miał błyszczącą i jedwabiście miękką. Szczeknął krótko na pożegnanie, wbiegł między drzewa i po kilku sekundach zniknął w ustępujących już ciemnościach.

Wróciłam do centrum wsi, odtwarzając trasę, którą poprowadził mnie pies. Obchodząc kościół, usłyszałam szum kaskad Kacwinianki, udałam się więc w kierunku mostu. Stałam na jego środku i spoglądałam w dół, w rwący nurt czarnej wody, moje spojrzenie popłynęło z tym nurtem w dół, tam gdzie na tle szafirowego nieba rysowała się bryła młyna, tego porwanego niegdyś przez wielką wodę. Nagle zauważyłam, że coś się poruszyło na skalnym występie poniżej młyna. Siedziała tam jakaś istota, czarna jak zły duch. Po chwili parsknęłam pod nosem. Przecież to mój brat. Siedział na kamieniu i się objął. Chciałam do niego pomachać, ale przypomniałam sobie, że przecież gramy w dwóch drużynach. On też chyba uniósł rękę, ale zaraz opuścił. Naraz zza kurtyny wodnych plusków dobiegł do mnie inny odgłos, dobrze mi znany szelest papieru, kiedy wyjmuję się z niego kanapkę!

Sforsowałam zwinnie barierkę i już niczym koba zbiegałam po skalnych występach. Skacząc z kamienia na kamień, dotarłam do miejsca, gdzie siedział Gabs. Obok siebie miał cały piknik.

– Śniadanko? – Spytałam.

– Co? Zjadłoby się? – W półmroku zobaczyłam błysk zębów w szerokim uśmiechu.

– Zjadłoby się. Skąd to masz? – Zadałam pytanie, wskazując wiklinowy koszyk wypełniony żarciem. Kanapkami owiniętymi w biały papier, jabłkami, gruszkami i śliwkami. Na rozłożonym obok obrusiku leżał wielki kołacz. Taki jak ten upieczony na wesele Maryny. Był też termos, znad którego unosił się aromat gorącej kawy, i butelka jakiegoś napoju, który okazał się domowym kompotem z rabarbaru. – Zwinąłeś to komuś czy co?

– Wolisz wiedzieć czy wolisz zjeść? – Prychnął kpiąco.

– Zjeść – odparłam, sięgnęłam po kanapkę i usiadłam na skale obok.

Dopiero gdy wgryzłam się w pajdę wiejskiego bochna z twarogiem, dotarło do mnie, jaka byłam głodna. Poczułam też lekkie ukłucie złości na siebie samą, że nie zadbałam o prowiant, a Gabsowi udało się skądś wytrzasnąć cały bankiet. Popiłam słodkim kompotem i oderwałam kawał placka Maryny. Nie smakował jak zły omen. Był wyśmienity, zwłaszcza z kompotem.

– Ale żresz! Chyba dawno nie jadłaś – skomentował Gabs, jakby wiedział, o czym myślę. – Nie żałuj sobie. Mam tego dużo.

– A dowiedziałeś się czegoś poza tym, jak lokalsom idą wypieki?

– Ha ha. Nie interesuj się. To jest sztama tylko na czas trwania posiłku.

– Oczywiście.

Po jedzeniu zrobiłam się senna, wyjęłam więc z plecaka śpiwór i włożyłam do niego. Od dziecka tyle razy zdarzyło nam się nocować po pustych kościołach, piwnicach, ruinach zamków albo w trawie, że potrafiłam spać w każdych warunkach. Śpiwór był wręcz luksusem. Jak przenośna nora, małego domku ślimaka, w którym można się schować i mieć gdzieś resztę świata i okoliczności. Nie minęła minuta, a ja już spałam.

Zbudził mnie promień słońca, który przeszył korony olch nade mną i osiadł mi na twarzy. Gabsa już nie było, ale zostawił mi kanapkę i reszkę kawy. Zjadłam, wypiłam, pozbierałam swoje rzeczy i uznałam, że czas wracać. No i tak to było dziadku.

Gabs znowu prychnął. Przestał się jednak bujać na krześle, co robił przez cały czas, gdy opowiadałam. Przewracał przy tym co jakiś czas oczami, zupełnie jak ci święci z obrazu w kawcińskim kościele.

– Ja znam nieco inną wersję.

– No to słuchamy – odezwał się dziadek, nie pokazując po sobie, co myśli o mojej wersji.

– No wiecie, ta Maryna wcale nie była taka święta, jak to przedstawiłaś. Dziopa kuta na cztery nogi. Odebrała narzeczonego innej dziewczynie. Ta zemściła się, topiąc kłódkę w potoku i rzucając złe czary na Marynę.

– Co za bzdury! – Parsknęłam.

– Nie to co gadające psy i wróżenie z placka z serem – zakpił z kolei Gabs. – Morda w kubeł, teraz ja opowiadam. Maryna łąziła cztery lata na czworakach, żeby odczynić te złe czary i żeby ją ludzie przestali uważać za, no wiecie, grzesznicę. Nawet na logikę moja wersja jest bardziej prawdopodobna. Takie właśnie są baby!

– Jedyne, co się zgadza, to charyzmat skutecznej obrony magicznej maryjnego sanktuarium – skomentowałam.

– He? – Spytał Gabs, krzywiąc się.

– Jesteś durnym nieukiem – odparłam z pogardą.

– A ty jesteś tak odklejona, że nie pamiętasz o podstawowych potrzebach, takich jak jedzenie i picie.

– Cicho – dziadek zdusił kłótnię w zarodku. Od razu zamilkliśmy i popatrzyliśmy na niego, w napięciu czekając na werdykt. – Oboje macie rację.

– Jak to? – Spytaliśmy chórem.

– Tak to. Sprawa Maryny była jedynie pretekstem do sprawdzenia waszego podejścia. I jedno, i drugie pozostawia wiele do życzenia – popatrzył na nas surowo, ale po chwili dodał wspaniałości – ale jest w was pewien potencjał. Więc jeśli nadal chcecie moją posadę, to ją macie. Razem. Zbadałem dokładnie precedensy i teraz już wiem na pewno, że jako bliźnięta możecie, a nawet powinniście wykonywać tę robotę razem. Doszło bowiem do przepoławienia daru. Ale czy będziecie w stanie jako tako się zachowywać i nie kłócić?

– Nie, dziadku! – Odpowiedzieliśmy zgodnie.

Przez pomarszczoną twarz przebiegł krótki, przypominający skurcz uśmiech. Trudno powiedzieć, czy dziadek był zadowolony, czy dumny. Jak zwykle okazał się bardzo oszczędny w ujawnianiu jakichkolwiek uczuć czy emocji. Uderzyło mnie jednak wtedy nagle, że jest już bardzo stary i zmęczony, jakby dźwigał na barkach te wszystkie stulecia, które odwiedzał.

Później, wieczorem, gdy Gabs wyszedł gdzieś ze znajomymi, dziadek zadzwonił do mnie i poprosił, żebym do niego wpadła. Siedział w swojej bibliotece, obłożony książkami. Stojąca za fotelem lampa tworzyła wokół niego żółtą poświatę. Złożył gazetę i spojrzał na mnie surowo.

– Wiesz, że to ty.

– Co ja?

– Ty masz prawdziwą moc. Ale twój brat również ma pewien dar – westchnął ciężko, jakby go ten fakt smucił. – Obawiam się, że pozostawiony sam, bez kontroli, mógłby używać go nieodpowiednio. Dlatego musicie współpracować. A ty masz mieć na niego oko. I nigdy, przenigdy nie wspominać mu o tej rozmowie. Cienka jest granica pomiędzy neutralną a mroczną stroną...

W pierwszej chwili poczułam dumę i satysfakcję, ale później, w nocy, gdy już kładłam się spać, przeszło mnie nagłe podejrzenie, czy dziadek przypadkiem nie zabrał na bok również mojego brata i nie powiedział mu czegoś podobnego. Albo może rzucił z przekąsem, że bez jego opieki pomrę z głodu. Dręczyło mnie to i zapragnęłam podpytać Gabsa. Zerwałam się z łóżka, jednak ledwo zrobiłam krok, zwątpiłam. A jeśli to tylko moja paranoja, a dziadek tym razem był szczerzy i mówił prawdę? Może Gabs miał zadatki na złego bliźniaka? A ja moimi pytaniami wyzwolę w nim to, co najgorsze. Zapęłtiłam się w wątpliwości, obawy i podejrzenia. Tych kilka zdań, które usłyszałam, nie zostawiało mi dużego pola manewru. Dlatego nie zrobiłam nic i nic nie powiedziałam. Ale swoją drogą – jaki człowiek tak traktuje własne wnuczeta?!



NÓŻ I SKÓRA

KOŚCIÓŁ PW. ŚWIĘTEGO
BARTŁOMIEJA W NIEDZICY

Od czego powinnam zacząć tę historię?

Tam, gdzie zakończyłam wątek związany z Wyspiańskim? Od skarbu Inków? A może od powtarzającego się od dzieciństwa sennego koszmaru o człowieku obdartym ze skóry? Jedno jest pewne, w naszych przygodach chronologia dziejów jako szkielet opowieści się nie sprawdza. Użyję więc naszej chronologii wydarzeń. Opowiem po kolei, tak jak fragmenty wątku związanego z Niedzicą pojawiły się w naszym życiu.

Najpierw koszmarny. Pierwszy raz przyśnił mi się ten człowiek niedługo po śnie o niemowlętach topionych w Tybrze. Pamiętam go doskonale, z najdrobniejszymi detalami. Miał czarne, kędzierzawe włosy opadające na oczy, które były wielkie i ciemne. Skórę miał jasną, nos równy i prosty, a pod nim wąsy i szeroką, czarną brodę przetykaną siwizną. Nosił krótką tunikę bez rękawów, obrębianą purpurą. Narzucał na nią białą płaszcz, z drogimi purpurowymi kamieniami na rogach. Wyjaśnił mi, że chodzi tak ubrany od dwudziestu sześciu lat, a jego szaty pozostają czyste. Podobnie jak jego sandały z szerokich rzemieni. On sam zaś nie odczuwał ani zmęczenia, ani łaknienia dzięki aniołom, które z nim chadzają. Gdy wznosił modły, jego głos był mocny jak trąba. Wszystko przewidywał, wszystko wiedział, mówił językami wszystkich narodów i rozumiał je. Spytaście, co w tym strasznego? Dwa szczegóły, które dotarły do mnie dopiero po chwili. Mężczyzna ten w jednej dłoni trzymał nóż, w drugiej zaś skórę zdjętą z człowieka. Wyjaśnił mi, że to jego własna skóra.

Kiedy byłam małą, zwykle budziłam się w tym momencie. Później w moim i mojego brata życiu pojawiło się więcej koszmarów, obcowaliśmy z nimi na jawie w różnych równoległych światach, do których zabierał nas dziadek lub do których wchodziliśmy sami. Nauczyliśmy się z nimi żyć i traktować je jako nieodzowną część otaczającego nas świata.

Koszmary przestały mnie budzić, spokojnie śniłam je do końca, dzięki czemu poznałam historię kaźni tego mężczyzny. Pojawiło się kilka wersji (później zrozumiałam, że w snach mogą się odbijać różne historyczne źródła). Niekiedy mężczyznę tylko ścinano lub umierał przez



Św. Bartłomiej Apostoł z atrybutami: nożem i odartą skórą, Matteo di Giovanni, przed 1480, Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie (Szépművészeti Múzeum). Wikipedia, domena publiczna



ukrzyżowanie głową do ziemi. Najczęściej jednak oglądałam wersję, w której jego męka trwała dłużej, a sceny tortur przypominały wątki z najokrutniejszych horrorów. Najpierw go ukrzyżowano, później, zanim jeszcze umarł, dla większej męki zdjęto go z krzyża i obdarto ze skóry, na koniec zaś ścięto mu głowę. Niekiedy bito go jeszcze różgami.

Jego twarz była przy tym przez cały czas skupiona, jakby pogrążona w modlitwie, przez co sprawiała wrażenie nieczułej na cierpienie. I za każdym razem, gdy go spotykałam, wyraz jego twarzy nie zmieniał się, zawsze pozostawał pogodny i radosny.

↑ Sceny męczeństwa św. Bartłomieja z Legendarium andegaweńskiego, ok. 1330–1340, The Morgan Library & Museum w Nowym Jorku. Wikimedia Commons, domena publiczna

↗ Św. Bartłomiej trzymający nóż i własną skórę, fragment fresku *Sąd Ostateczny* w Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie, Michał Anioł Buonarroti, 1535–1541. Wikipedia, domena publiczna

Sen powracał do mnie co kilka lat, jakby męczennik chciał mieć pewność, że dobrze go sobie zapamiętam. Był na tyle dobrze utrwalony, że rozpoznałam go na zajęciach z historii sztuki, gdy omawialiśmy malowidło Michała Anioła z kaplicy Sykstyńskiej. Co prawda w tej wizji Sądu Ostatecznego nie miał swoich czarnych kędzierzawych włosów, a jego broda była niemal zupełnie siwa, ale posiadał atrybuty, po których rozpoznałabym go wszędzie: nóż i własną skórę. Wtedy zrozumiałam, że męczennik z moich koszmarów to Apostoł Bartłomiej.



Niedługo po tym pomagałam Wyspiańskiemu wykaraskać się z afery kartonowej, jak to nazywał Gabs. Poszło mi nieźle, tamtą sprawę uznałam za zamkniętą, dlatego byłam zaskoczona, gdy następnego ranka podczas śniadania dostarczono mi liścik, w którym Wyspiański prosił o jeszcze jedno spotkanie w kościele Świętego Krzyża.

– Co on kombinuje – mruknęłam bardziej do siebie niż do Gabsa i lekko zaniepokojona schowałam wiadomość do kieszeni. – Pieniądze dostał, nic więcej nie wskóra.

– Może chce reklamować twoje usługi – zachichotał Gabs.
– Z tego co pamiętam, miał z tego zleconka wyciągnąć więcej mamony.

– Więcej się nie dało, spytaj dziadka, jak nie wierzysz.

– Już lecę.

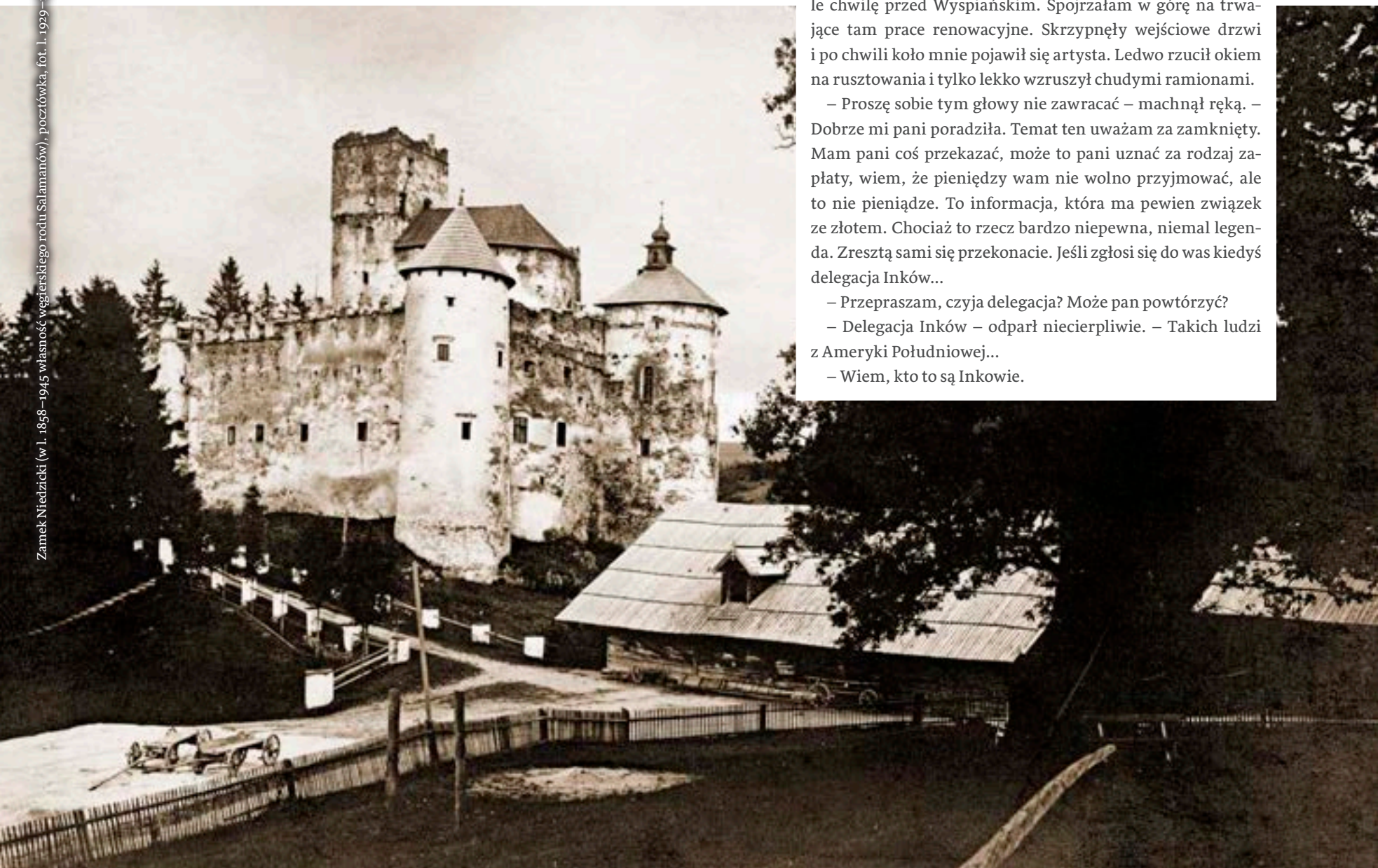
– Po co on w ogóle wraca do Świętego Krzyża? Żeby zobaczyć, jak Tuch pracuje nad zleceniem, które on powinien wykonywać? Chce się tym trochę pozadreczać czy co? Jak się okazało, żadne z nas nie miało racji. Zjawiłam się w kościele chwilę przed Wyspiańskim. Spojrzałam w górę na trwające tam prace renowacyjne. Skrzypnęły wejściowe drzwi i po chwili koło mnie pojawił się artysta. Ledwo rzucił okiem na rusztowania i tylko lekko wzruszył chudymi ramionami.

– Proszę sobie tym głowy nie zawracać – machnął ręką. – Dobrze mi pani poradziła. Temat ten uważam za zamknięty. Mam pani coś przekazać, może to pani uznać za rodzaj zapłaty, wiem, że pieniędzy wam nie wolno przyjmować, ale to nie pieniądze. To informacja, która ma pewien związek ze złotem. Chociaż to rzecz bardzo niepewna, niemal legenda. Zresztą sami się przekonacie. Jeśli zgłosi się do was kiedyś delegacja Inków...

– Przepraszam, czyja delegacja? Może pan powtórzyć?

– Delegacja Inków – odparł niecierpliwie. – Takich ludzi z Ameryki Południowej...

– Wiem, kto to są Inkowie.



– To co pani niemądrze pyta? W każdym razie dokument, o który im będzie szło, trafił, zdaje się, w roku 1828 do kościoła Świętego Krzyża i znajduje się za okładką mszału. Tyle wiem. Aha, nie mogę zagwarantować, że jest autentyczny. Tak czy owak, dokument ten musi zostać odnaleziony. Chyba pani rozumie?

– Oczywiście, że rozumiem.

Pewne rzeczy musiały się wydarzać, żeby świat kręcił się dalej, bywały jednak sytuacje, gdy potrzebny był katalizator. Wtedy wkraczaliśmy my. Z czasem przekonałam się, że to często brudna robota, a wydarzenia, które popychamy do przodu, mają niekiedy tragiczne następstwa. Tak było w przypadku Inków. Dlatego niechętnie przechowywałam informację powierzoną mi w kościele Świętego Krzyża.

Pół roku później pojawił się u nas Andrzej Benesz z historią o Peruwianczykach, którzy zawitali do domu jego rodziców w Bochni i chcieli odkupić wszystkie dokumenty dotyczące ich wspólnych przodków. To zdarzenie sprawiło, że Benesz sam zapragnął pogrzebać w historii swojej rodziny, do czego potrzebował kogoś takiego jak my. Wysłuchaliśmy go z Gabsem i poszliśmy się naradzić. Mój brat podniecał się wizją szukania skarbu Inków.

– Wiesz, co oznacza skarb? – Spytałam spokojnie.

– Pieniądze.

– Nawet jeśli, to dla nas równe zero.

– I co z tego? Nigdy nie znaleźliśmy skarbu. Nie jara cię taka opcja?

– Skarb oznacza kłopoty. Oglądasz filmy, powinieneś wiedzieć, jak to się może skończyć. Poza tym nawet nie wiesz, gdzie szukać i czego.

– Założę się za to, że ty wiesz. No i nie możemy odmówić pomocy, zapomniałaś?

Zawahałam się, miał rację. Było jednak w tej sprawie coś, co sprawiało, że nie chciałam brać tego zlecenia. Powiedziałam więc, że to przemyślę i następnego dnia podejmę decyzję. W nocy znowu miałam ten sen o świętym Bartłomieju. Wyraźniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Tym razem zobaczyłam jednak kilka szczegółów, których we wcześniejszych

snach na pewno nie było. Jak zwykle dzierżył nóż, w drugiej ręce jednak nie trzymał własnej skóry, lecz księgę. Nosił czarną szatę, spod której wysuwał się czerwony spiczasty but, na ramiona narzucił zaś białą opończę zdobioną w złote kwiaty. Stał na tle wzorzystej zasłony w odcieniach purpury, bieli i złota, i tej zasłony też nigdy wcześniej nie widziałam.

Gdy się obudziłam i przeanalizowałam sen, zrozumiałam, że musi chodzić o konkretne przedstawienie apostoła. Chwilę bezskutecznie przeglądałam w internecie wizerunki Bartłomieja, ale tego konkretnego nie znalazłam. Potem wpadłam na pomysł. A co, jeśli sen w jakiś sposób wiązał się ze sprawą Inków? W końcu orientowałam się już, jak to wszystko działa, byłam więc niemal zupełnie pewna, że nie bez powodu przyśnił mi się akurat tej nocy. Wpisanie słów kluczy (Inkowie, skarb, św. Bartłomiej), dało dosyć zaskakujący rezultat. Chwilę wpatrywałam się w monitor, po czym poszłam obudzić brata, który lubił sobie pospać do oporu.

– Gabs! Gabs! – Musiałam krzyknąć tak kilka razy, nim ten leniuch łaskawie rozkleił powieki.

– Czego? – Burknął.

– Idź z Beneszem do kościoła Świętego Krzyża, tam odszukajcie księdza Andrzeja Mytkowicza. Akt adopcyjny, którego szuka zleceniodawca, znajduje się za okładką mszału, dlatego nie ma go w żadnym rejestrze.

– Wiedziałem!

– Ale ostrzeż go, że autentyczność nie jest potwierdzona.

– Uhm – ziewnął Gabs znudzony, lecz nagle jakby oprzytomniał. – A ty nie idziesz?

– Nie. Ja jadę do Niedzicy, wezmę udział w renowacji kościoła św. Bartłomieja. Poćwiczę sobie datowanie. Ty masz to gdzieś, ale dziadek uważa, że datowanie w naszym fachu jest bardzo ważne. Warto wiedzieć, gdzie się aktualnie znajdujesz.

– Co to za renowacje?

– Te, co skończyły się w 2003 roku.

– Aha, no to baw się dobrze.

– Tam mnie znajdziesz, jak już skończysz udawać poszukiwacza skarbów.

Kościół był orientowany, otaczał go dziewiętnastowieczny mur. W jego obrębie znajdowały się resztki cmentarza. Sama świątynia została zbudowana z kamienia z użyciem cegły i otynkowana. Bryłę opinały jednouskokowe przypory. Między przyporami umieszczone były smukłe, ostrołukowe okna. Nad nawą wznosiło się sklepienie kolebkowe, wsparte na masywnych filarach przyściennych. Od zachodu znajdowała się wieża połączona z kruchtą, a przy północnej ścianie mieściły się kaplica i zakrystia.





Miałam sporo czasu, by zapoznać się ze wszystkimi szczegółami późnobarokowego ołtarza, a zwłaszcza z umieszczonym w jego centrum obrazem przedstawiającym Bartłomieja ze skórą, tym razem przerzuconą przez ramię, jakby non-szalancko niósł fragment odzienia. To jednak nie to przedstawienie mi się przyśniło. Apostoł z mojego snu pochodził z tryptyku znajdującego się na północnej ścianie prezbiterium. Jak się okazało, był to jeden z najznamienitszych przykładów gotyckiego malarstwa w Polsce. W pozostałych kwaterach tryptyku od wewnętrznej strony namalowane były wydarzenia z życia Bartłomieja opisane w *Złotej legendzie* (zbiorze żywotów świętych Jakuba de Voragine), w tym oczywiście sceny jego męczeństwa.

W pewnym momencie drzwi otworzyły się z rozmachem, powiało lekkim, jakby grobowym chłodem i nie musiałam się odwracać, by po krokach rozpoznać Gabsa. Usiadł obok mnie w ławie i westchnął ciężko.

– Wracam z niedzickiego zamku – powiedział ponuro.

– Co, nie było skarbu? – Spytałam z przekąsem.

– Był, tak jakby. Jeśli inkaskie pismo węzełkowe w tubie, znalezione w rozbitym schodku, można nazwać skarbem.

– Mówiłam.

– Ale spotkałem też ducha – Gabs się nieco rozpogodził. – Ducha Uminy, księżniczki Inków. Błąkała się po korytarzu. Zaprowadziła mnie do swojej sypialni...

– Jaja sobie robisz?

– Nie, posłuchaj. Położyła się do łóżka...

– Bierzesz to obcowanie z duchami zbyt dosłownie.

– Głupia jesteś. Położyła się do łóżka. Ja się patrzę, a to nie łóżko tylko srebrna trumna! A ona ma suknię całą we krwi!

– I co zrobiłeś?

– Jak to co. Poszedłem sobie. A rano okazało się, że ten Andrzej Benesz, nasz zleceniodawca, nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym. Podobno wszyscy związani ze skarbem inków umarli w dziwnych okolicznościach, nad tym skarbem ciąży jakaś klątwa.

– Mówiłam. Nie wiem, czy klątwa, ale wiedziałam, że dobrze się to nie skończy. Nie lubię takich spraw.



↑ Św. Bartłomiej prowadzony na śmierć, jedna ze scen tryptyku w kościele św. Bartłomieja w Niedzicy, ok. 1450, fot. K. Schubert. MIK 2018
→ Scena Modlitwy w Ogrójcu z zachowanego prawego skrzydła tryptyku w kościele św. Bartłomieja w Niedzicy, 1930. BN, domena publiczna

– Mnie tam wszystko jedno. Rzeczy muszą się wydarzać, jak mawia dziadek, a my musimy im pomagać.

– Dlatego ty będziesz od brudnej roboty.

– A od kiedy to ty jesteś szefem ekipy, co? – Spytał, udając oburzenie. Nigdy by nie przyznał na głos, że nieoficjalnie oddał mi dowodzenie naszym dwuosobowym oddziałem. Nie dlatego, że uznał moją wyższość czy większy talent, tylko ze zwykłego lenistwa.

Rozejrzał się w końcu po wnętrzu, a nawet obszedł kościół, przypatrując się z zainteresowaniem wystrojowi.

– Istny *horror show* – stwierdził, wskazując obraz świętej Barbary, na którym w tle umieszczono scenkę przedstawiającą jej ścięcie. Obok klęczącego nadal ciała leżała odrębana głowa. – Pomyśl, że jako dziecko przychodzisz tu co niedzielę i oglądasz te okropieństwa.

– Widzieliśmy gorsze rzeczy.

– No tak. Ale my to co innego.



Męczeństwo św. Bartłomieja, rycina Ch.P.J. Normanda, za: C.P. Landon, *Annales du Musée et de l'école moderne des beaux-arts*, Paris 1807. Ze zbiorów BN, domena publiczna

Zatrzymał się przed tryptykiem i wskazał obdartego ze skóry, czerwonego Bartłomieja, który niósł skórę zawieszoną na opartym na ramieniu kiju.

– Co mu się stało?

– Generalnie ukrzyżowano go, następnie bito, potem obdarto ze skóry. Zdaje się w takiej właśnie kolejności, a on dzięki łasce Chrystusa żył cały czas, aż go w końcu ścięto.

– Ładna mi łaska.

– Wszystko zależy od punktu widzenia, bracie. W Budapeszcie znajduje się fragment tego tryptyku. Przedstawione jest na nim to obdarcie ze skóry i ścięcie. Ta część jest dosyć mocno uszkodzona, niestety.

– Wielka szkoda – mruknął obojętnie, a potem spytał podejrzliwie. – Co ty tu właściwie robisz?

– Prowadzę badania.

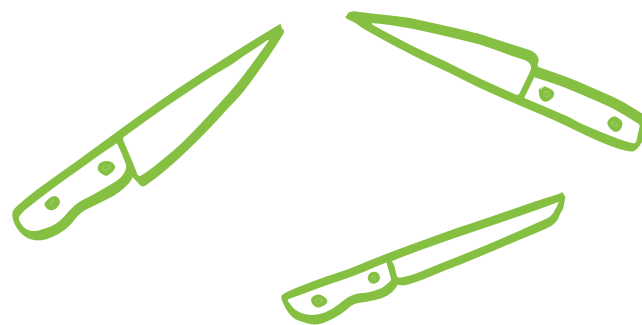
– Jakie?

– Liczę skóry apostoła Bartłomieja w tym kościele.

– Ile naliczyłaś?

– Sześć.

Naprawdę prowadziłam badania, lecz dotyczące czego innego. Nieuchronności zdarzeń. Powiązań między zajściami z dalekiej przeszłości, informacjami przekazywanymi w snach i incydentami, które się przytrafiły sto, dwieście, trzysta lat później. Zaczynałam postrzegać czas tak jak dziadek. Przestał być dla mnie linearny, coraz bardziej przypominał ogromną pajęczynę. Coraz lepiej rozumiałam, co dziadek miał na myśli, mówiąc, że takim jak my zdarza się popadać w szaleństwo. Trzeba się będzie dobrze pilnować.





**CZŁOWIEK, KTÓRY
USŁYSHAŁ ORGANY**
ORGANY WŁADYSŁAWA HASIORA
NA PRZEŁĘCZY SNOZKA

Pamiętam ten moment, gdy uświadomiłam sobie, że dziadek jest istotą śmiertelną. Że cały świat jest śmiertelny. Było to w lutym 1985 roku, a my byliśmy wtedy jeszcze bardzo mali. To jedno z moich pierwszych tak złożonych wyraźnych wspomnień.

Dziadek zabrał nas do Zakopanego. Cieszyła nas perspektywa zjazdów z wysokich szczytów na sankach. Podniecaliśmy się tymi sankami przez całą drogę w pociągu, więc nasze rozczarowanie, gdy po przyjeździe dziadek oznajmił, że na sanki pójdziemy następnego dnia, bo on musi odwiedzić znajomego, który otwiera właśnie swoją galerię, było spore. Zaczęliśmy buczeć, zalaliśmy się łzami, ale na dziadka taki szantaż emocjonalny nie działał.

– Zobaczycie, że spodoba się wam to miejsce. Idziemy do leżakowni – uciął wszelkie protesty.



Dawna leżakownia sanatorium ZUPU „Warszawianka” w Zakopanem, projekt Wacław Nowakowski (1933–1934), fot. W. Wilczyk. Ze zbiorów fundacji Instytut Architektury

Wlekliśmy się za nim załamani, bo leżakownia kojarzyła nam się z leżakowaniem w przedszkolu – najnudniejszą częścią dziecięcego dnia. Wkrótce mieliśmy się przekonać, jak mylne były nasze podejrzenia.

Budynek pochodził z okresu międzywojennego (oczywiście wtedy nie miałam o tym pojęcia). Był to duży dwupiętrowy dom, zbudowany z ciemnego drewna i przeszlony od południa. Wydał nam się wtedy bardzo mroczny, taki cichy i ciemny na tle zaśnieżonego otoczenia.

– Wujek Wladek robi tu galerię – dziadek zatoczył ręką. – Ale ma w tym budynku też mieszkanie i pracownię. Chcecie iść ze mną do Władka na herbatkę czy wolicie obejrzeć sobie stwory w galerii?

– Stwory! – Wrzasnęliśmy.

Dziadek wpuścił nas do ciemnego wnętrza, w którym dziwnie pachniało: kurzem, drewnem i stęchlizną. Podłoga skrzypiała pod naszymi stopami, gdy skradaliśmy się niepewni, co nas może czekać w tym tajemniczym miejscu.

– Przejdźmy do pracowni – usłyszeliśmy, jak wujek Wladek mówi do dziadka. – A dzieci niech sobie tu pooglądają. Jutro będą tłumy, to już inny odbiór. Te moje eksperymenty obliczone są jednak na dialog z pojedynczym widzem.

– W skali makro i w przestrzeni publicznej oddziaływanie jest inne – odparł dziadek, wydawał się zamyślony, jakby rozważał jakąś istotną kwestię. – Ryzykowne. Nieprzewidywalne. Zsumowane dramatyczne reakcje mogą eksplodować zbiorową histerią...

– Czas i miejsce, kolego. Niekiedy wydaje mi się, że miałem po prostu pecha...

Ich głosy oddalały się, a my wkraczaliśmy w świat stworzony przez Hasióra. Zapamiętałam to miejsce jako groteskowy labirynt pełen pułapek albo coś w rodzaju gabinetu śmiechu w wesołym miasteczku. Tymczasem to był gabinet śmiechu połączony z pałacem strachu, miejsce odrealnione, wykrzywione i dziwaczne jak ze snu.

W materiałach i przedmiotach użytych przez Hasióra do konstruowania asamblaży było coś odrażającego, jakby każdy element sam w sobie, nawet jeszcze przed złożeniem



w nową całość nosił znamiona śmierci, rozkładu i katastrofy. Odpady, śmieci, rzeczy z marginesu rzeczywistości, zdezaktualizowane, a przez to odrzucone przez człowieka, niechciane, brzydkie, zepsute. Było coś poruszającego i wzruszającego w tym troskliwym zbieractwie cywilizacyjnych resztek.

Często zastanawiam się, jak byłyby odbierane te dzieła, gdyby Hasiór tworzył je dziś, kiedy nasz świat kończy się na naszych oczach i ci, którzy próbują ten koniec chociaż odrobinę oddalić, wynoszą na piedestał użytkowanie wtórne, przekształcanie już istniejącego. I robią to na różnych polach – w sztuce, modzie, technice, życiu codziennym. Może dziś asamblaże Hasióra wpisywałyby się w modny i zarazem wysoce moralny trend *zero waste*?

Powróćmy jednak do tamtej nocy, gdy krążyliśmy po galerii, nieśmiało zaczepiając mieszkające w niej dziwadła. Po chwili rozochociliśmy się jednak nieco za bardzo. Gabs usiłował wyjąć ptaszka z rąk *Poety pospiesznego*, a ja pokroić chleb nożem wystającym z pupy metalowego insekta. Potem Gabs zaczął mnie gonić po całym pomieszczeniu, tocząc przed sobą *Strażnika złudzeń przydrożnych*. Wydzieraliśmy się przy tym, jakby nas obdzierał ze skóry któryś z potworów, ale nikt nie zareagował na te hałasy poza *Aniołem mięsożernym*, ten nadleciał i trzepnął Gabsa futrzanym skrzydłem przez łepetynę. Potem wleźliśmy na antresolę, żeby spróbować odkleić zdjęcie kotka z *Ofelii z Czarnego Dunajca*. Przechyliliśmy się przez barierkę odrobinę za bardzo i już po chwili zwisaliśmy, każdy trzymając się jednej z nóg wystających z obrazu. Nasza historia skończyłaby się, być może, ostatecznie dwa metry niżej, gdyby nie pochwyciła mnie rączką *Chiromantka*, a Gabsa nie złapała na włochaty grzbiet *Chuć domowa*. Stwory odpełzły do swoich kątów, a do nas dotarło, co mamy przed sobą. Był to wózek dziecięcy wypełniony piaskiem, w który wbito krzyże i świece.

- Cmentarz – powiedział Gabs.
- Tu nas pochowają – oznajmiłam ponuro.
- Nieprawda.
- Prawda. Ale najpierw dziadka.
- Kłamiesz – w oczach Gabsa zalśniły łzy.

– Nie kłamię! – Wrzasnęłam. Jakąś sadystyczną przyjemność sprawiało mi dręczenie brata, może dlatego, że sama bałam się coraz bardziej. – Wszyscy umrzemy! A dziadek pierwszy, bo jest bardzo stary.

Gabs zaczął płakać.

– Nie... chcę... żeby... dziadek... umarł... – chlipał, zachłystując się.

– Ja też nie chcę – dołączyłam do płaczu.

Siedząc na podłodze, zalewaliśmy się łzami, wyjąc histerycznie. Nie usłyszeliśmy kroków dziadka, dopiero jego głos, gdy się nad nami pochylił.

– Co wam się dzieje? Znowu się tłukliście?

Równocześnie złapaliśmy go mocno za nogi, płacząc jeszcze głośniejszym i rozpaczliwiej.

– Dziadku, nie umieraj!

– Obiecuj, że nie umrzesz!

– Obiecuj!

– Obiecasz?

Dziadek kucnął obok nas. Wyglądał na ubawionego naszą rozpaczą. Wyjął dwie kraciaste chustki i podał nam, nakazując wytrzeć oczy, wysmarkać nosy i przestać się wydurniać.

– Obiecuj – nie odpuszczał mój brat.

– Obiecuję – odpowiedział dziadek dla świętego spokoju, ale potem dodał z wrodzoną uczciwością: – Obiecuję, że jeszcze długo nie umrę. Musi wam to wystarczyć.

– Ile? – Chciałam wiedzieć.

– Tyle – dziadek rozłożył szeroko ręce. Chcąc uniknąć dalszych negocjacji, powiedział zachęcająco: – Chodźcie, zjecie sobie oscypka i do spania. Bo jutro z samego rana czekają na nas sanki. Potem placki po zbójnicku i spotkanie z facetem w przebraniu niedźwiedzia.

– Hura! – Zawołaliśmy zgodnie. Od razu humory nam się poprawiły. Wobec czekających nas atrakcji szybko zapomnieliśmy o nieuchronności śmierci.

Do Krakowa wracaliśmy bussem. Dziadek wybrał ten środek transportu, ponieważ trasa prowadziła przez przełęcz Snozka, a on chciał nam pokazać żelazne organy Hasióra.

Były widoczne z drogi, chociaż częściowo zasłaniał je zagajnik. Ukryte tak za drzewami robiły dziwne wrażenie, jakby ktoś się ich wstydził. Tak to odebrałam jako dziecko, a dziadek potwierdził, że poniekąd mam rację.

– Kto na nich gra? – Spytał Gabs. – Kościelny?

Dziadek stłumił chichot.

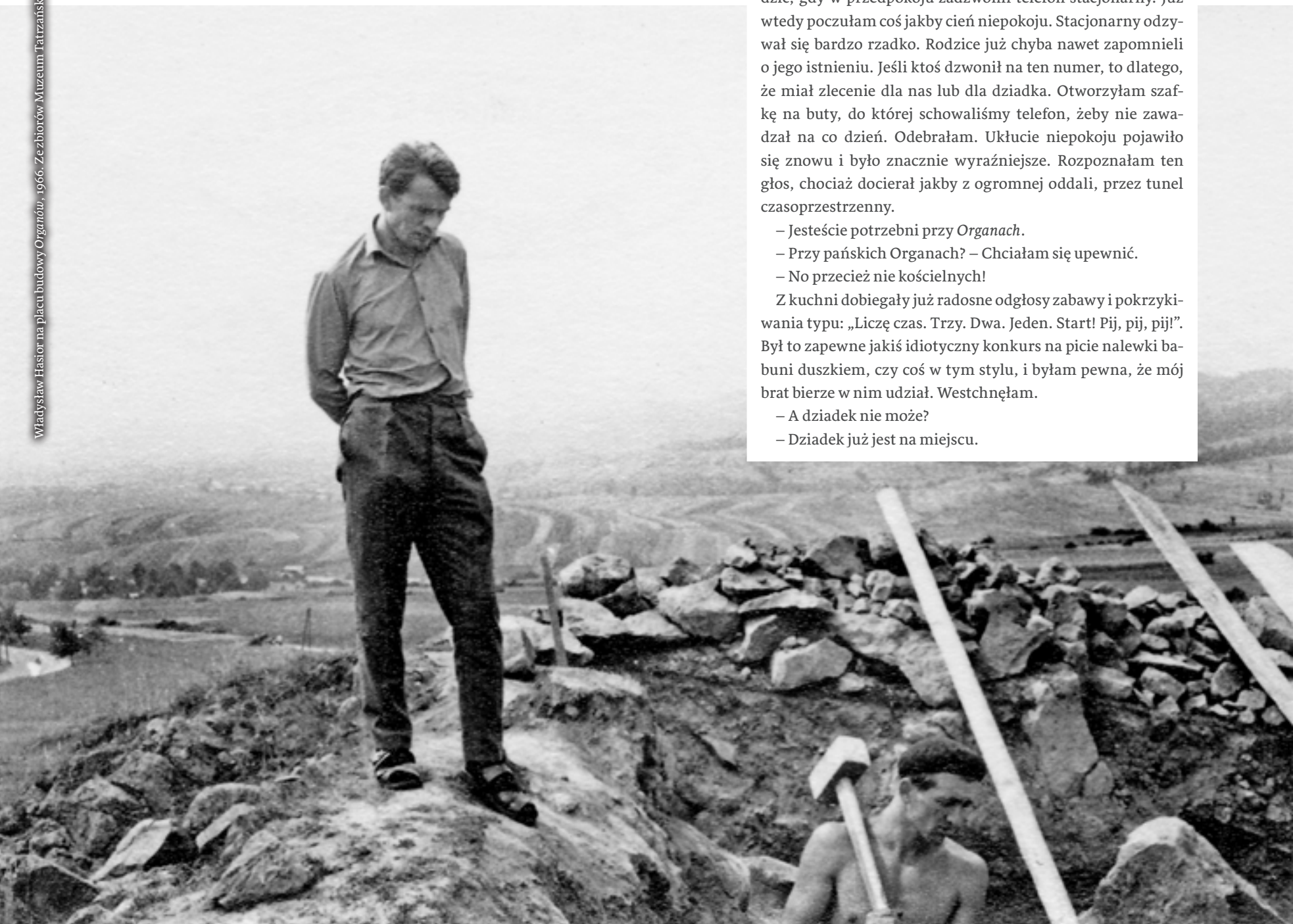
– Nie, Gabsiku, nikt na nich nie gra. Miały grać same, ale nie grają.

– Bez sensu – podsumował mój brat rzeczowo. – Po co komu zepsute organy!

– Dlaczego nie grają? – Zapytałam.

– Dobre pytanie – stwierdził dziadek, ale odpowiedzi nie udzielił, chociaż czekałam, wyciągając szyję, aż potężny, drapiezny, geometryczny twór z żelaza zniknął za wzgórzem.





Organy Hasióra pojawiły się w naszym życiu ponownie pewnej letniej nocy, dwadzieścia lat później. Rodziców nie było, dziadek też gdzieś wyjechał w sprawach zawodowych, więc urządziliśmy imprezkę. Znajomi właśnie zaczęli się schodzić, gdy w przedpokoju zadzwonił telefon stacjonarny. Już wtedy poczułam coś jakby cień niepokoju. Stacjonarny odzywał się bardzo rzadko. Rodzice już chyba nawet zapomnieli o jego istnieniu. Jeśli ktoś dzwonił na ten numer, to dlatego, że miał zlecenie dla nas lub dla dziadka. Otworzyłam szafkę na buty, do której schowaliśmy telefon, żeby nie zaważał na co dzień. Odebrałam. Ukłucie niepokoju pojawiło się znowu i było znacznie wyraźniejsze. Rozpoznałam ten głos, chociaż docierał jakby z ogromnej oddali, przez tunel czasoprzestrzenny.

- Jesteście potrzebni przy *Organach*.
- Przy pańskich *Organach*? – Chciałam się upewnić.
- No przecież nie kościelnych!

Z kuchni dobiegały już radosne odgłosy zabawy i pokrzykiwania typu: „Liczę czas. Trzy. Dwa. Jeden. Start! Pij, pij, pij!”. Był to zapewne jakiś idiotyczny konkurs na picie nalewki babuni duszkiem, czy coś w tym stylu, i byłam pewna, że mój brat bierze w nim udział. Westchnęłam.

- A dziadek nie może?
- Dziadek już jest na miejscu.



Wtedy przestraszyłam się naprawdę. Jeśli dziadek potrzebował pomocy, dlaczego sam nie zadzwonił do któregoś z nas na komórkę? Coś było nie tak.

– Czy dziadek ma kłopoty?

– Priorytetem są organy. Żelazne, nie ludzkie. Chyba znacie swoje obowiązki.

– Zaraz wyruszymy – odparłam, odkładając słuchawkę. Wieczór był ciepły, ale ręka, którą ścisnęłam słuchawkę, była bardzo zimna, jakbym trzymała w niej sopel lodu.

Otrząsnęłam się, po czym poszłam do kuchni po brata. Tak jak myślałam, pił duszkiem jakiegoś taniego ruskiego szampana. Odebrałam mu butelkę i powiedziałam cicho, ale z naciskiem:

– Musimy jechać.

– Żartujesz? Przecież...

– Dziadek ma kłopoty.

Po tych słowach Gabs już bez dalszych dyskusji szybko wyprosił towarzystwo. My również wyszliśmy z domu. Wskoczyłam za kółko, a on na siedzeniu pasażera rozpoczął kurację trzeźwiącą. Na zmianę wlewał w siebie wodę i wyżerał szprotki w oleju z puszki. Gdybym nie była tak zdenerwowana i niespokojna, na pewno zjechałabym go za syf, który zrobił mi w samochodzie, bo co jak co, ale sardynki w puszcze to jedna z najryzykowniejszych potraw na drogę. Już po chwili koleś był upaprany olejem i rybą jak dziecko, wylał też na siebie sporo muszynianki. Kuracja chyba nie odniosła skutku, bo zrezygnowany sięgnął do tyłu po napoczętą butelkę wina. Nawet tego nie skomentowałam.

Gdy dojechaliśmy w okolice Czorsztyna, była już noc. Zostawiliśmy samochód na parkingu i zaczęliśmy się wspinać. Na tle rozgwieżdżonego, letniego nieba organy wyglądały jak prehistoryczny nastroszony ptak, który przysiadł na pagórku.

Nagle usłyszeliśmy jakieś krzyki, uderzenia i łomot. Zobaczyłam też błysk ognia. Jakby z kilku pochodni.

– Zniszczyć ubelisk! – Ryknął ktoś na wzgórzu. Odpowiedziały mu liczne głosy poparcia.

– Biegiem – rzuciłam do brata.

Był w kiepskim stanie i z trudem za mną nadążał. Słyszałam, jak czka i beka, jakby ten spożyty posiłek zupełnie mu nie posłużył. W dłoni ściskał chlupoczącą butelkę wina.

– Zamorduję cię! – warknęłam i wyrwałam mu flaszkę.

Wbiegłam na wzniesienie. W mroku szamotała się grupa ludzi. Kilka osób trzymało w dłoniach butelki i zapalało szmaty przyczepione do szyjek. Gdy ogień oświecił ich twarze, zobaczyłam, że to jakieś chłystki. Mieli jednak przewagę liczebną. Pomnika broniła tylko jedna osoba. Dziadek. Jeden z typków rzucił butelką w pomnik. Roztrzaskała się. W środku musiała być benzyna, bo podpora zajęła się ogniem. Dziadek zarzucił koc i zduślił płomień. Szturchnęłam Gabsa. Ale w tym samym momencie dostrzegłam, że któryś z tych gnojów, zdaje się ten, co rzucił butelkę, popchnął dziadka, który potknął się, upadł w trawę i sturlał kawałek w dół. Napastnik skoczył w jego kierunku, ale byłam szybsza. Wymierzyłam mu kopniaka w biodro i podciąłam nogę pod kolanem. Usłyszałam następnego zbliżającego się do mnie z tyłu, ale zdążyłam się odwrócić i roztrzaskać mu Gabsowe wino na łbie. Wskoczyłam na betonowy cokół. Być może za sprawą *Organów* mój głos zabrzmiał bardzo donośnie, gdy zawołamam.

– Won stąd, gnoje!

Gabs również wdrapał się na betonowy kloc i stanął obok mnie. Zdążył w tym czasie odebrać któremuś butelkę.

– Bo was spalimy żywcem! – Ryknął, aż huknęło.

Za nami zaczęły się gromadzić cienie. Duże dziwne kształty przypominające naszych starych znajomych z dzieciństwa – dziwołagi Hasióra. Napastnicy przestraszyli się i zaczęli wycofywać w popłochu.

– Dzięki za pomoc – powiedziałam do brata z przekąsem.

– Przecież pomogłam!

– „Bo was spalimy żywcem”?

– Do psycholi trzeba gadać jak psychol. Uświadom to sobie. Poza tym chciałem ładnie nawiązać do żywiołów, które tak kochał wujek Władek.

– Wow! – Aż zagwizdałam. – Czegoś się nauczyłeś, tępaku!

– Będą ze mnie jeszcze ludzie, głuptaku.

– Może byście mi łaskawie pomogli! – Dziadek powoli grzmolił się z ziemi, zaplątany w wysoką trawę.

Zeskoczyłam z cokołu, przedarłam się przez badyle i pomogłam mu usiąść. Nadbiegł Gabs i razem dźwignęliśmy dziadka.

– Żyjesz? – spytałam.

– Jeszcze tak – mruknął. Powoli brnęliśmy przez chaszczę, szukając ścieżki prowadzącej na parking. Dziadek przystawał co kilka kroków. Oddychał jakoś ciężko. W końcu zatrzymał się i westchnął.

– Usiądźmy na chwilę. Muszę odpocząć.

Usiedliśmy więc po obu stronach dziadka, na zboczu góry, tak że *Organy* mieliśmy za plecami.

– Dobrze, że są całe.

– Dobrze, że ty jesteś cały! – Zawołał Gabs.

– Oj, moje głupty. Nadal nic nie rozumiecie. Nam nie chodzi o ratowanie ludzi, tylko o ocalenie ich wytworów. Ludzie nieuchronnie odchodzą, a ich wytwory pozostają jako ich częśćka, najlepsza częśćka, jaką mogą darować światu. Sztuka reprezentuje ludzkość z najlepszej strony... Rozumiecie?

– Rozumiem twoje podejście – odparłam zupełnie nieprzekonana.

– To nie jest moje podejście – rozżłościł się dziadek. – To nasze zadanie i obowiązek. Nasz priorytet działania. Mój, wasz i innych podobnych nam istot...

Nagle urwał. Chciałam wtrącić jakieś pytanie, ale mnie uciszył.

– Słyszycie? One jednak grają! *Organy* grają!

Spojrzeliliśmy na siebie z Gabsem. Na twarzy brata zobaczyłam lęk. Ten sam, który widziałam dwadzieścia lat wcześniej w galerii, gdy upierał się, że dziadek nie umrze.

– Słyszycie?

– Nie, dziadku.

– Ha!ny wieje – wyjaśnił racjonalnie Gabs.

Jedyne, co było słychać, to podmuch wiatru w zagajniku, szelest liści, wołanie nocnych ptaków i jednostajny szum samochodów w dole.

I nagle ja również usłyszałam.

– Słyszysz Gabs?

– Nie. Chyba nie... – zawahał się i dodał ostrożnie: – Może. Sam nie wiem.

– Może jesteś przygłuchy?

– A ty przygłupia.

– Cicho, słuchaj!

Organy grały. Grały same, uruchomione wiatrem. Stalowe zęby rozdzielały podmuchy, jak grzebień rozdziela włosy na pasma. W niemal widoczny sposób. Potem doszedł drugi, wyższy dźwięk – świst piszczalek, i trzeci – delikatny brzęk dzwonek. Harmonijnie współgrały z tłem, który tworzył szum szosy, szmer drzew z zagajnika, cykady, pohukiwanie sów i śpiew nocnych ptaków. Ta melodia była nowa, nigdy wcześniej jej nie słyszałam, ale równocześnie znajoma, jakbym o niej kiedyś śniła. Było w tym coś upojnego, oszałamiającego.

Nagle zbudziłam się z transu. Ocuciło mnie pytanie, które wdarło się do mojej głowy: Jak to jest możliwe? Nigdy, w żadnym czasie, ani razu nie zagrały. Więc to, co słyszymy, nie może być echem przeszłości.

– Dziadku, na jakiej zasadzie...?

Urwała. Dziadek miał otwarte oczy, jakby nadal wpatrywał się w niebo. Ale już go nie widział. Jego oczy wyglądały jak szklane kulki, źrenice przypominały mikroskopijne galaktyki ukryte w mgławicy.

– Gabs – szepnęłam. – Dziadek.

– Widzę – odpowiedział zdławionym szeptem.

– Dziadek umarł – dodałam zaskoczona, bo nie do końca to do mnie docierało.

– Zamknij się – warknął mój brat.

Odwrócił się jakby obrażony. Usłyszałam, jak głośno przełyka ślinę i pociąga nosem. Wtedy zorientowałam się, że lzy płyną mi po policzkach i już nie mogłam powstrzymać szlochu. Gabs uniósł głowę. Spojrzeliśmy na siebie. Jego twarz też była mokra od łez i taka podobna do mojej, jakbym patrzyła na swoje zrozpaczone odbicie w lustrze. W tej samej chwili rozplakaliśmy się, tak bardzo jak wtedy, gdy byliśmy



dziećmi. Plakaliśmy zgodnie, siedząc po raz ostatni obok dziadka. Po chwili równocześnie wskazaliśmy swoje zapuchnięte twarze i zaczęliśmy się histerycznie z siebie śmiać i z makabrycznego absurdu całej sytuacji. Gdyby ktoś nas teraz zobaczył, jak siedzimy po prawicy i lewicy zmarłego i rechoczymy do rozpuku, rozpaczliwie przy tym płacząc, uznałby pewnie, że jesteśmy niespełna rozumu.

– Może już wystarczy? Zachowujecie się niepoważnie.

Oboje podskoczyliśmy zaskoczeni. Znajomy głos dobiegł od strony *Organów*. Jakiś cień poruszył się pod jednolicie czarną, poszarpaną bryłą na tle rozgwieżdżonego nieba. Czarny cień nie podszedł bliżej. Oparł się o jeden ze słupów w nonszalanckiej pozie.

– To ty, dziadku? – wyjąkałam z trudem.

– Powiedzmy. Niczego was nie nauczyłem?

– Jesteś duchem? – Ucieszył się Gabs.

– Masz, chłopcze, obsesję na punkcie duchów. Przestańcie się mazgać i zabierzcie stąd moją ziemską powłokę. Macie telefony. Dzwońcie na pogotowie, bo takie są procedury.

– Co mamy powiedzieć?

– Prawdę. Pomijając może fakt, że *Organy* zagrały, bo to wprowadziłoby tylko niepotrzebne zamieszanie.

Cień wskoczył zwinnie na betonowy kloc i usiadł na nim. Nawet zamachał luzacko nogami.

– Patrz – trąciłam Gabsa – jaki jest teraz młody duchem.

– Bo jest młodym duchem.

Zachichotaliśmy cicho.

– Mniej śmiania, więcej telefonowania – dobiegł ironiczny głos z oddali.

– A ty?

– Chwilę tu sobie jeszcze posiedzę. Naprawdę świetnie grają.

– Czyli zostawiasz nas? – Spytałam ostrożnie, gdy już zawiadomiliśmy pogotowie.

– Tylko poniekąd.

I nagle ponownie nastała cisza. *Organy* przestały grać. Znowu słyszeć było tylko zwykłe odgłosy letniej nocy, w której harmonię powoli wdzierał się sygnał nadjeżdżającej karetki. Spojrzałam na betonowy postument. Cień zniknął. Zostaliśmy sami. Poniekąd.



PODZIĘKOWANIA

Cykl dziesięciu opowieści składających się na tę książkę nie powstałby bez bliższych i dalszych podróży, których echa pobrzmiewają w oddanych do rąk czytelników tekstach. Za każdą taką wyprawą stoją osoby, które przede mną i ekipą Dni Dziedzictwa otworzyły drzwi bliskiego dla nich miejsca. Pragnę podziękować im wszystkim za serdeczne przyjęcie, oprowadzenie i inspirujące opowieści. Mocna kawa i pyszne ciasta, którymi byliśmy częstowani, dodawały nam sił w tych wojażach.

Niech mi więc będzie wolno wyrazić wdzięczność prof. Annie Patalas, dyrektorze Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz Justynie Szombarze z Ośrodka Dokumentacji Muzyki Polskiej im. Ignacego Paderewskiego za życzliwość, przybliżenie postaci Franciszka Xawerego Puśłowskiego i wskazanie niezbędnej literatury. Róży Książek z Muzeum Collegium Maius UJ za pomoc w dotarciu do archiwalnych zdjęć. Wojtkowi Dzido z Instytutu Goethego za oprowadzenie po salonach i labiryntach piwnic pałacu Potockich. Danucie Potockiej za podzielenie się rodzinnymi fotografiami, które wzbogaciły szatę graficzną książki. Siostrze Duchaczkom, a w szczególności Marii Esterze Kapitan, matce generalnej Zgromadzenia Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego, i Immaculacie Alinie Krasce, przełożonej domu tegoż zgromadzenia za odsłonięcie historii jednego z najstarszych krakowskich zakonów. Księdzu dr. Dariuszowi Guziakowi, proboszczowi kościoła Świętego Krzyża, za serdeczne przyjęcie na plebanii. Bratu starszemu Henrykowi Sali oraz Jakubowi Kwaśnikowi z Arcybractwa Miłosierdzia za serdeczność i oprowadzenie po jednym z bodaj najbardziej tajemniczych domów Krakowa. Pani Krystynie Jelonek-Litewce, historyczce przez całe życie związanej z tymże Arcybractwem, za wiele rozmów telefonicznych i korektę merytoryczną. Proboszczowi parafii pw. Podwyższenia Krzyża św. w Iwkowej, księdzu Józefowi Gurgulowi za spotkanie i rozmowę o dziejach kościoła pw. Nawiedzenia NMP w Iwkowej oraz niewielkiego,

ale bardzo ciekawego muzeum parafialnego im. Ks. J. Piechoty, a Joannie Piechowicz za oprowadzanie po tymże kościele. Podziękowania należą się także dyrektorze Gminnej Biblioteki w Iwkowej, Bernadecie Klimek za cenne wskazówki dotyczące archiwalnych fotografii, a także Stanisławowi Szotowi, sołtysowi Iwkowej, który podjął się konsultacji merytorycznej wyrażen gwarowych zastosowanych w tekście o Iwkowej.

Burmistrz gminy Czchów, Marek Chudoba wziął na siebie trud oprowadzenia nas po wzgórzu zamkowym, a proboszcz parafii pw. Narodzenia NMP w Czchowie, ks. Ryszard Biernat podzielił się cennymi dla mnie opracowaniami o kościele.

Dziękuję także proboszczowi parafii pw. św. Bartłomieja w Niedzicy, ks. Józefowi Bednarczykowi za ugoszczenie nas na parafii i oprowadzenie po kościele, Julicie Dembowskiej z działu sztuki Muzeum im. Dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem za umożliwienie obejrzenia zbiorów Władysława Hasióra, opowieść o artyście i udostępnienie materiałów archiwalnych. Także osobom, dzięki którym możliwe było dotarcie do beluardu w Rożnowie, *Organów* Hasióra na przełęcz Snozka i do kościoła w Kacwinie, uroczej wsi na Spiszu, gdzie czas niemal stanął w miejscu.

Składam też podziękowania pracownikom Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Krakowie oraz delegatur w Nowym Targu, Nowym Sączu i Tarnowie za życzliwe przyjęcie i udostępnienie materiałów merytorycznych i fotograficznych dotyczących wszystkich prezentowanych zabytków, a także pracownikom Archiwum Narodowego w Krakowie, Muzeum Krakowa, Muzeum Narodowego w Krakowie, Biblioteki Jagiellońskiej oraz wszystkim osobom, których tu nie zdołałam już wymienić, a przyczyniły się do powstania tej książki.

BIBLIOGRAFIA

Pałac Pusłowskich w Krakowie

- Beiersdorf Z., *Pałac Pusłowskich w Krakowie. Studium z dziejów pałacu-muzeum*, „Rocznik Krakowski” 1988, t. 54.
 Chwalba A., *Ostatni salon PRL. Rzecz o Franciszku Xawerym hrabim Pusłowskim*, Warszawa 2015.
 Chwalba A., *Pałac Pusłowskich*, Kraków 2014.
 Estreicher K. jr., *Dziennik wypadków*, t. I–V, Kraków 2001–2006.
 Gabrys A., *Salony krakowskie*, Kraków 2007.
 Rostworowska M., *Czas nie stracony. Życie i dzieło Xawerego Pusłowskiego*, Kraków 1998.
 Sołowianiuk P., *Jasnowidz w salonie, czyli spirytyzm i paranormalność w Polsce międzywojennej*, Warszawa 2014.

Pałac Potockich w Krakowie

- Gabrys A., *Salony krakowskie*, Kraków 2007.
 Hennel-Bernasikowa M., *Pałac Potockich w Krakowie (róg Rynku i Brackiej). Zarys dziejów*, Kraków 2016.
 Pamiętnik Franciszka Salezego Potockiego, rękopis pamiętnika w zbiorach rodzinnych, kserokopia w Bibliotece PAU, sygn. 10183.
 Potocka Maria Małgorzata z Radziwiłłów, *Z moich wspomnień (Pamiętnik)*, Łomianki 2010.
 Schnaydrowa B., *Krakowskie lata Franciszka Salezego Potockiego i Marii Małgorzaty Potockiej (1903–1919)*, „Rocznik Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie” 1990, 35.

Klasztor Duchaczek z kościołami pw. Świętego Tomasza i Świętego Krzyża w Krakowie

- Bąkowski K., *Kościół Ś. Krzyża w Krakowie*, Kraków 1904.
Studia z dziejów kościoła św. Krzyża w Krakowie, cz. I–III, red. Z. Kliś, Kraków 1997.

Tomkowicz S., *Zabytki budownictwa miasta Krakowa, szpital Ś. Ducha*, Kraków 1892.

Wachholz L., *Szpital krakowski 1220–1920*, Kraków 1921.

Wyspiański S., *Dawna polichromia kościoła św. Krzyża w Krakowie*, „Rocznik Krakowski” 1898, 1, s. 90–101.

<https://kanoniczki.pl/historia-zgromadzenia/> (dostęp: marzec 2019)

Dom Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie

Jelonek-Litewka K., *Arcybractwo Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie*, Kraków 2017.

Książka Pamiątkowa Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie od roku 1584 do 1884, skreślona w roku jubileuszowym, Kraków 1884.

Lepiarczyk J., *Konserwacja „Komory klejnotowej” Arcybractwa Miłosierdzia w Krakowie*, „Ochrona Zabytków” 1958, 11/1–2 (40–41), s. 142–144.

„Świat” 1911, R. 6, nr 52, s. 10.

<http://www.arcybractwo.org/> (dostęp: marzec 2019)

<https://polona.pl/item/ksiazka-pamiatkowa-arcybractwa-milosierdzia-i-banku-poboznego-w-krakowie-od-roku-1584-do,MTg5Mjg5OTM/12/-#info:metadata> (dostęp: marzec 2019)

Kościół pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Iwkowej

Dokumentacja konserwatorska, oddział WUOZ w Tarnowie.

Dzieje Gminy Iwkowa. Fotografii malowane,

oprac. B. Klimek, A. Mikołajczyk, Iwkowa 2011.

Piechota J., *Dzieje Iwkowej: 1325–1960*, oprac. B. Klimek, Z. Klimek, Iwkowa 1995.

Piechota J., *Gawędy iwkowskie*, Kraków 2006.

Piechota J., *Komedyje iwkowskie: gadki i klechdy*, Warszawa 1982.

Szot S., *Dzieje Gminy Iwkowa. Iwkowskie Role*, oprac.

B. Klimek, Iwkowa 2014.

<http://sloownik.nasliwkowymszlaku.pl/sloownik.html> (dostęp: luty 2019)

Kościół pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i zamek w Czchowie

Bogusz P., *Zabytkowy kościół parafialny w Czchowie*

(praca magisterska napisana pod kierunkiem dra Władysława Szczebaka w Instytucie Teologicznym w Tarnowie), Tarnów 1998.

Dokumentacja konserwatorska, oddział WUOZ w Tarnowie.

Dzieje Gminne Czchowa, oprac. K. Sroka, H. Kornaś, M. Janicka, Czchów 2014.

Malik R., *Średniowieczne lokacje miejskie nad Dunajcem*.

Czchów. Ze studiów nad budową i kształtem miasta lokacyjnego, „Wiadomości Konserwatorskie” 2008, nr 24, s. 48–56.

Widmańska W., *Oblicza ziemi czchowskiej: Tropie, Tropsztyn, Czchów*, Czchów 2002.

<http://muzeum.tarnow.pl/wirtualna-czytelnia/zamek-w-czchowie/> (dostęp: luty 2019)

Beluard w Rożnowie

Bogdanowski J., *Zagadka beluardu* w Rożnowie,

„Sprawozdania z Posiedzeń Komisji Naukowych PAN, Oddz. Kraków” 1969, t. 12.

Dokumentacja konserwatorska, oddział WUOZ w Nowym Sączu.

Dworzaczek W., *Hetman Jan Tarnowski. Z dziejów możnowładztwa Małopolskiego*, Warszawa 1985.

Pauli. Ż., *Wyimki z podróży po Galicji w roku 1831*, „Rozmaitości”, Lwów 1835, nr 47–52.

Stęczyński M.B., *Okolice Galicji*, Lwów 1847.

Tomkowicz S., *Stanisława Tomkowicza inwentarz zabytków powiatu sądeckiego*, t. I, oprac. P.T. Łopatkiewicz, Kraków 2017.

<http://www.rodzina.malanowicz.eu/Rakow/arianie/postacie.htm> (dostęp: marzec 2019)

Wieś Kacwin na Spiszu

Kotucha P., Sadowska E., *Tradycyjne budownictwo wsi Kacwin na Zamagurzu Spiskim*, „Czasopismo Techniczne” 1997, z. 7-B (206), s. 49–74.

- Monita R., Skorupa A., Kacwin. *Kościół Wszystkich Świętych*, Kraków 2015.
- Reinfuss R., *Zabytkowe sypańce spiskie w Kacwinie*, „Orli Lot” 1939, nr 9, s. 146–147.
- Szydłowski T., *Zabytki sztuki w Polsce: inwentarz topograficzny*, cz. III: *Województwo krakowskie*, t. I, z. I: *Powiat nowotarski*, Warszawa 1938.
- Trajdos T.M., *Kaplice wsi Kacwin na Polskim Spiszu. Formy artystyczne i kręgi kultowe*, t. 52, s. 257–299, Kraków 1979, http://naszaprzeszlosc.pl/files/tom052_09.pdf (dostęp: marzec 2019)

Kościół pw. Świętego Bartłomieja w Niedzicy

Dokumentacja konserwatorska, oddział WUOZ w Nowym Targu.

Monita R., Skorupa A., *Niedzica. Kościół Św. Bartłomieja*, Kraków 2013.

Studia z dziejów kościoła św. Bartłomieja Apostoła w Niedzicy, red. Z. Kliś, Kraków 2006.

Wierna R., *Apokryficzne przedstawienie męczeństwa św. Bartłomieja Apostoła na obrazie kościoła parafialnego w Burgrabicach*, „Vox Patrum” 2012, 32, t. 57.

Tajemnica kipu znalezionej w Nidzicy i rzekomo odkrytego skarbu, http://www.poselska.nazwa.pl/wieczorna2/historia-nowozytna/tajemnica-kipu-znalezonego-w-nidzicy-i-rzekomo-odkrytego-skarbu-wg-pogloszek?fbclid=IwAR3quXsQBxrmTPwzjibgXzQmX_YjKuM8T6g-Z4nYjYXsfoB1AlNZoiRcz9NQ (dostęp: marzec 2019)

Organy Władysława Hasióra na Przełęczy Snózka

Granice sztuki współczesnej – wokół twórczości Władysława Hasióra. Materiały z konferencji zorganizowanej przez Małopolskie Centrum kultury SOKÓŁ w Nowym Sączu 9–11 grudnia 2010, red. M. Raińska, Nowy Sącz 2011.

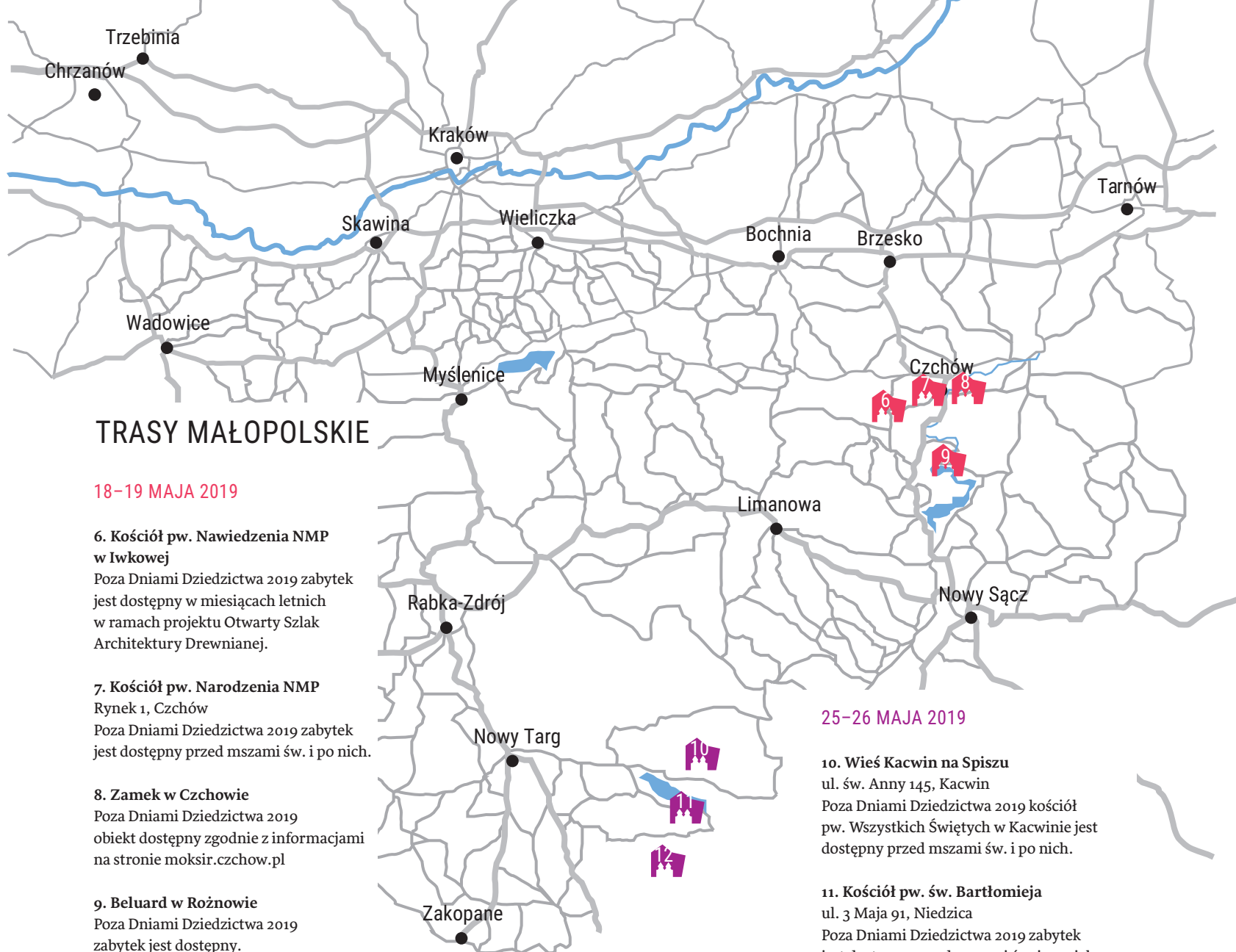
Styczyńska I., Kroh A., *Sądecki rodowód Władysława Hasióra*, Nowy Sącz 2001.

Szczygieł-Gajewska M., *Władysław Hasiór*, Warszawa 2011.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, czytaj!



TRASY MAŁOPOLSKIE

18-19 MAJA 2019

6. Kościół pw. Nawiedzenia NMP w Iwkowej

Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny w miesiącach letnich w ramach projektu Otwarty Szlak Architektury Drewnianej.

7. Kościół pw. Narodzenia NMP Rynek 1, Czchów

Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny przed mszami św. i po nich.

8. Zamek w Czchowie

Poza Dniami Dziedzictwa 2019 obiekt dostępny zgodnie z informacjami na stronie moksir.czchow.pl

9. Beluard w Rożnowie

Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny.

25-26 MAJA 2019

10. Wieś Kacwin na Spiszu

ul. św. Anny 145, Kacwin
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 kościół pw. Wszystkich Świętych w Kacwinie jest dostępny przed mszami św. i po nich.

11. Kościół pw. św. Bartłomieja

ul. 3 Maja 91, Niedzica
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny przed mszami św. i po nich.

12. Organy Władysława Hasióra na Przełęczy Snózka

Kluszkowce
Poza Dniami Dziedzictwa 2019 zabytek jest dostępny.



WIRTUALNE
MUZEA
MAŁOPOLSKI

ZOBACZ Z BLISKA

www.muzea.malopolska.pl

Gaja Grzegorzewska – rocznik 1980, absolwentka filmoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 2006 roku zadebiutowała powieścią kryminalną *Żniwiarz*, w następnych latach ukazały się jej kolejne książki: *Noc z czwartku na niedzielę* (2007), *Topielica* (2010), *Grób* (2012), *Betonowy pałac* (2014), *Kamienna noc* (2016). Niestrudzona tropicielka mrocznych stron ludzkiej natury i „szczelin w otaczającej nas bezpiecznej rzeczywistości”. Pociągają ją horrory, które oglądała z ukrycia już jako dziecko. W ubiegłym roku rozpoczęła współpracę z Małopolskim Instytutem Kultury, której owocem jest ta oto książka.

Jeśli nie są Ci straszne ciasne zakamarki piwnic i kamienice z labiryntami komnat, uwielbiasz mroczne historie i tajemnicze ruiny zamków czy fortec, a na dodatek lubisz zadumać się pod sklepieniami starych kościołów, by z barwnych malowideł odczytywać cudowne boskie i ludzkie historie, XXI edycja Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, pod hasłem *Z dreszczykiem* – jest właśnie dla Ciebie!

Realizacja:

Współfinansowanie:

małopolski
instytut
kultury **MIK**

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

 Fundusze
Europejskie
Program Regionalny

 MAŁOPOLSKA



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

Organizator:

małopolski
instytut
kultury



INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Gospodarze:

- Arcybractwo Miłosierdzia pw. Bogurodzicy NMP Bolesnej w Krakowie
- Gmina Czerwony
- Goethe-Institut w Krakowie
- Instytut Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego
- Parafia pw. Narodzenia NMP w Czerwonym
- Parafia pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Iwkowej
- Parafia pw. św. Bartłomieja Apostoła w Niedzicy
- Parafia pw. Świętego Krzyża w Krakowie
- Parafia pw. Wszystkich Świętych w Kacwinie
- Zgromadzenie Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego de Saxia



UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE



Współorganizatorzy:

- Gmina Iwkowa
- Gminna Biblioteka Publiczna w Iwkowej
- Gminny Ośrodek Kultury w Gródku nad Dunajcem
- Gminny Ośrodek Kultury w Iwkowej
- Gminny Ośrodek Kultury w Łąkach Niżnych z siedzibą w Niedzicy
- Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Czerwonym
- Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius
- Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem



UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE



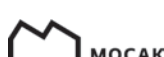
Muzeum
Tatrzańskie

Partner dodatku:



Partnerzy publikacji:

- Archiwum Narodowe w Krakowie
- Muzeum Krakowa
- Muzeum Narodowe w Krakowie
- Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK
- Narodowe Archiwum Cyfrowe



Patroni medialni:

